

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 26. Warszawa, dnia 18 (30) Czerwca 1876 roku. Rok 12.

CENA PRENUMERATY:

w Warszawie z odn. do domu		na prowincyi w Cesarstw. i Królestwie.	
rocznie. . . .	rs. 6 k. —	rocznie	rs. 8 k. —
półrocznie	„ 3 „ —	półrocznie . . .	„ 4 „ —
kwartalnie	„ 1 „ 50	kwartalnie . . .	„ 2 „ —
miesięcznie. . . .	„ — „ 50		

w Krakowie rocznie z stemplem dziennikar. Złr. 10. w Galicyi Złr. 11 cent 50. — w Prusach roczn. 24 marek.

OPIEKUN DOMOWY

wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYA, SKŁAD GŁÓWNY i EKSPEDYCYA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT Nr. 72 NOWY.

Skład główny: w Poznaniu w Księgarni *Leitgebera i Spółki;* we Lwowie w *Księgarni Polskiej*, ulica Kopernika Nr. 12; w Krakowie w Księgarni *Gebethnera i Spółki;* w Wilnie u *J. Zawadzkiego.*

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15

Od Redakcyi.

Upraszamy łaskawych pp. prenumeratorów o wczesne nadsyłanie przedpłaty na prenumeratę „Opiekuna Domowego„ w kwartale III-cim, pośpiech bowiem w zapisach ułatwi nam regularną wysyłkę pierwszych zwłaszcza numerów pisma.

CO NAM CZAS NIESIE.

Widzimy dziś o wiele szybsze przeobrażenie się myśli w czyn, niż to było jeszcze przed kilkunastu laty. Zaledwo ktoś pomysł rzucił, inny go rozwinął i zrozumiale wyłożył, a trzeci już zrealzował, czyli mówiąc jaśniej, wykonał, wprowadził w życie. Czynność ta wcale nie gorączkowa, ale wytrwała, jest jedną z głównych cech chwili bieżącej. Oczywiście, że z chwilą narodzin pomysłu nowego i pojawienia się rzeczy nowej w łonie społeczeństwa, odbywa się chrzest onych nowonarodzonych, dostają swe im iona własne. Często się zdarza, że nazwa wyprzedza rzecz samą, bo myśl nie zna granic, przechodzi z ust do ust, przynosi ją iskra elektryczna, przywozi para na bibule zadrukowanej. My jesteśmy najczęściej w położeniu takiem, że wprzód dolatuje nas słowo, myśl, opisanie rzeczy, zanim byliśmy w stanie doświadczyć, zbadać, obejrzeć własnemi oczyma. Wyradza to z jednej strony niedowierzanie, z drugiej zdziwienie, dalej jeszcze słyszymy przezwiska, dawane owem nowonarodzonem dzieciom wieku, niektórzy mienią je nawet bękartami, zwąc matkę ich herezyą, a ojca obłędem, tak zwani postępowi nakoniec przyjmują wszystko bez braku, a trwożliwi, choć lepiej myślący, pozostawiają wszystko czasowi. Wiemy wszelako, że czas, bez udziału naszego, bez pracowitej dłoni i rozumnej myśli, zdolny jest chyba zamienić w trupa to co się porusza, a w próchno to co martwe. Jednocześnie nieraz jedni nieustanną czynnością i ciągłem czuwaniem, dokonywają wielkich rzeczy, kiedy inni nie wiedzą nawet, że stało się coś ważnego przez jedno społeczeństwo dla całej ludzkości.

Przedewszystkiem jednak mówić mamy o tem, co nam czas niesie, lub przyniósł, a co razi uszy przywykłe do ciszy, oczy do form stokrotnie oglądanych. W pierwszym rzędzie, są to zawsze *teorye nowe*, w drugim *warunki życia*, także nowe, bo zmieniające się. Teorye nowe dlatego są w pierwszym rzędzie, że są społeczeństwa, które wiedząc nawet o zmianach, zaszłych gdzieindziej na lepsze, nie poczytują ich za dobre, lub zgodne z interesem jednej klassy społecznej, iż się nie zgadzają z interesem kasty przemożnej, wchodzą w życie z trudnością, a często po zażartej dopiero walce.

Na dziś, w ustach nieprzyjaciół *samodzielności osobistej*, postrachem jest realizm, wolność sumienia, a nawet i nauka. I całkiem naturalnie, bo człowiek oświecony, a zatem samodzielny, nie pozwoli wodzić się na pasku, przestanie być karyatydą, na której wspiera się próżność, pycha i niedołęztwo złotem upstrzone. A teraz pytanie, komu to w społeczeństwie naszem zależeć powinno najwięcej na tem, ażeby wszelkie dane przez czas, wszelkie zdobycze umysłowe i wszystko co daje siłę—spożytkować jaknajlepiej? Odpowiedź byłaby łatwa, gdyby społeczeństwo to było jednolite co do głównych pragnień i celu ostatecznego, którym jest samodzielność. Tak wszelako, jak jest dotychczas, powinno, zdaje się zależeć na tem głównie stanowi średniemu bez niego bowiem, coby zostało? Coby zostało bez kilku tysięcy ludzi światlejszych, uczonych, literatów, artystów, adwokatów, lekarzy, urzędników—bez kilkudziesięciu tysięcy oświeceńszych trochę mieszczan i kilkunastu tysięcy ziemian pojmujących swe obowiązki —coby zostało? Chyba przesycenie u góry i głód a łakomstwo u dołu.

Zachodzi teraz drugie pytanie, czy mamy być mizeologami, czyli wzgardzicielami wszelkiej myśli nowej i nauk, zdobytych w czasie, czy raczej powinniśmy przyjąć to, co może

wyrobić i nowe siły? Zdaje się, że każdy poczyta za swój obowiązek obeznania się z teoryą nową i sprobuje o ile korzystniejszą okaże się w życiu.

Okrzyczani tak zwani realiści, nie zrobili nic straszniejszego, jak to, co zrobił na swoje czasy Kopernik. Nie wchodząc w siły nadprzyrodzone, wyrzekli, iż wszelka materya podlega prawom fizycznym. Poznanie tych praw i sił, podaje właśnie nie komu innemu tyko człowiekowi możność zapanowania nad niemi, wyzyskania ich na swą korzyść. Fałszem zaś jest, aby stawili wyżej nad człowieka samą materyę, siły surowe—przeciwnie pracują dla ludzkości, a zatem i dla każdego pojedynczego społeczeństwa i jednostki w niem, uznają więc człowieka za najdoskonalszą istotę na ziemi, choć najdoskonalszą względnie. To jest o ile człowiek myśleniem samodzielnem, pracą użyteczną, pojęciem własnego interesu, przysporzył sił samemu sobie, a tem samem i społeczeństwu, o tyle wchodzi w rachubę sił ogólnych, tyle wart jako siła, z którą liczyć się trzeba. Rozumie się, że w teoryi takiej nie może być mowy o zasługach odziedziczonych, ale tylko o zasługach osobistych i to jest poniekąd kamieniem obrazy. Komu w życiu przyświeca myśl, czucie, kto drogę toruje sobie *czynem*, ten żyje i ten z czasem będzie miał prawo upomnieć się o takie warunki życia, jakie mu przynależą. Ale kto przejada tylko i przebawia to, co czyjaś niegdyś zdobyła myśl, zebrały czyny zagrzane uczuciem, ten stracił wszelkie warunki bytu, przeje wszystko do reszty, a czas zrobi swoje, zatrze pamięć o istnieniu jego choćby najbardziej błyskotliwem.

To są nowe warunki życia. W warunkach takich człowiek świadomy swego celu, oddychać może tylko pogardą dla niedołęztwa; ale oprócz pogardy żywić powinien i chęć rychłego urzeczywistnienia zamysłów swoich. A do celu wiedzie każda droga rozumnej myśli, zacnego uczucia i gorliwej pracy—a żadna praca nie jest gorszą.

To pojęcie o pospolitszem lub szlachetniejszem zajęciu, wyradza się z braku poczucia godności osobistej. Próżniak pomiata zwykle każdą pracą, jak pomiata honorem innych i zacnością, wyzuwszy się wprzódy sam z tego wszystkiego. Tu więc znowu staje realizm w poprzek wszystkim niedołęgom, realnie bowiem myślący człowiek, potrafi ocenić należycie swoję pracę i niezależność i obrazić się nie pozwoli. Nie pozwoli deptać sobie po karku i nie stanie się podnóżkiem do wyniesienia tych, którzy zamarzyli o wielkości bez pracy, bez myśli, dla tego tylko, aby błyszczeć. Srodki zatem rozumne, wiodące do najrychlejszego i pewnego urzeczywistnienia zamysłów, czy to uszlachetniających serce, czy niosących myśl nową, czy nakoniec pożytku dotykalnego, przystępnego i umysłom poziomym to właściwie realizm i jedynie właściwy aby go wcielić w życie. Dawniej było zasadą panującą, że *jeden* człowiek, jednostka dźwigana barkami miljonów, myśleć miała za wszystkich, za każdą z osobna jednostkę społeczną i za wszystkie razem i uszczęśliwiać ogół według swego widzenia rzeczy; a nawet myśl głębsza w jednej osobistości u poziomu stojącej, poczytywaną była poniekąd za zbrodnię. Łudzić się, unosić, wielbić niewolniczo, wolno było ogółowi, ale myśleć, tylko uprzywilejowanym. Diś jest inaczej: myśl, czucie, czyn są chlebem powszednim, jak być powinny; każdy obmyśla środki, sposoby, wynajduje nowe drogi i uszczęśliwiając siebie, uszczęśliwia innych. Rozumie się, że mowa tutaj tylko o takich, którzy przyczyniają się do szczęścia innych, stawszy się potrzebnymi głową, kapitałem, pracą, bo za nic tu ci, którzy przejadają tylko resztki i trwoniąc żywią przy sobie pasożytów.

Czynność taka opierać się musi na rozwadze, która wcale nie zabija uczucia czystego, pochopnego do czynu, ale, jeżeli uczucie to wydać ma czyny wielkie a trwałe, rozwija je stopniowo. Otóż rozwagę podobną, którąby się o ile można jak najmniej omyliła w wyborze środków, nazywamy realizmem. Ludzi wyznających podobne zasady, nazywają ludźmi bez serca, ale nie uzasadniwszy zarzutu. Jeżeli ktoś naprzykład nie spieszy z otarciem łez, płynących nie w skutek nieszczęścia, ale z powodu niedołęztwa lub niechęci do pracy, czyli po prostu z lenistwa, zwą go niewątpliwie materyalistą, nieczułym i t. p. Wielbią natomiast ludzi, którzy starają się o wzbudzenie podejrzenia, iż są praktycznymi. Dla czegóż tak się dzieje? Dla tego, że pierwsi dochodzą istotnie przyczyny łez, ale bez ostentacyi, że nim każą komuś pływać, radzą, aby się wprzód wyuczył tej sztuki; drudzy zaś potępiają bez braku wszystko, co nosi pozory własnej winy i mają na to oklepane zdanie: jak sobie kto pościele, tak się wyśpi. Nie radzą nigdy i nic, bo sami nie przeszli przez szkołę życie.

Oczywiście, że biorąc wszystko na odwrót, rzeczy przedstawią się w innem świetle, zupełnie fałszywem lub połyskującem pozorami prawdy.

I tak, jeżeli ktoś bezwzględnie czepi się siły fizycznej, brutalnej i zrobi to, co było przedmiotem badań naukowych i środkiem zdobycia pożytków, zrobi powiadamy celem swego życia, uzna się nie panem, ale niewolnikiem siły fizycznej, to już dostateczne, ażeby się stał oraz i odstraszającym przykładem, postrachem dla ludzi nie szukających rzeczywistej treści w każdym przejawie życia. Ażeby ślepe siły czynić ujarzmicielem świadomego siebie umysłu, trzeba doprawdy być obłąkanym albo być znowu bezwzględnym mistykiem, który wierzyć nam każe, że ciało może się z czasem „przeanielić“ w czystego ducha i t. p. Z jednej więc strony krzewicielami mimowolnymi mylnego pojęcia nowej teoryi stają się ludzie nie zdający sobie sprawy z tego o czem słyszą, z drugiej zaś zapamiętali mistycy, którzy na niwie umysłowej od wieków nie zdobyli nic nowego i nic pożytecznego. Są nakoniec satelici, z wytkniętemi nawet drogami, którzy w pewnem oddaleniu skręcając się około głównej myśli prawdziwych badaczy, rzetelnych słońc, naciągają do swoich przekonań każde odkrycie i wnoszą zamęt, mistyfikują, że znajdują przyjęcie, nic dziwnego, bo przemawiają językiem popularnym, starają się prócz pozorów rzetelnej nauki, zaciekawić. I tych wszelako bezwzględnie potępić nie można, bo teoryi swoich nie stawią jako dogmatu i nie zmistyfikują prawdziwie ciekawych i szukających źródeł, z których zaczerpnęli teoretycy.

To więc *co nam czas niesie*, możnaby zamknąć w Chrystusowem: *czuwajcie*. Czuwajmy, bo każda chwila ma inne wymagania, bo czas i ludzie nie stoją, zdobycz jedna wypycha drugą, drugę trzecia, a po tych zdobyczach i po tym kapitale ogólnym tak umysłowym jak zniesionym skrzętną ręką, po tem wszystkiem sądzi dziś świat. Czy można nazwać to czuwaniem, gdy choćby jedna strona, jeden czynnik był zaniedbanym? Z pewnością że nie. Tysiące potrzeb się rodzi, czuć się daje i tuż zaraz przybywa i tysiąc pomysłów, jakby zaspokoić te potrzeby. Jak nieznośnem jest lenistwo w młodzieńcu dorastającym, tak niemiłem jest ono w społeczeństwie, króre powiada, że jest świadome swego celu. Nigdy nie widziano rezultatu, bez poprzedzających usiłowań sprowadzenia go, to też niedorzecznością byłoby żądać, ażebyśmy już dziś dorównali wielu wymaganiom czasu, abyśmy sobie urządzili życie tak, jak się nam podoba.

A czy nam brak zasobów? Bynajmniej. Ale czas dzisiejszy wymaga od nas żywszego zajęcia się wszystkiem, bo u nas wszystko zaniedbane lub na pozór zrobione. Literatura, kto się nią zajmuje; nauki, sztuki, kto popiera; przemysł, kto rozwija a raczej wprowadza bo nie ma go jeszcze; rolnictwo, co przynosi, w kraju jak mówią „przeważnie rolniczym?“ oto skargi wieczne i skargi bez końca na wszystko i na czasy naostatek, najmniej podobno winne.

Warto pomyśleć, myśleć i czuwać i uwzględniać nowe teorye, które mogą zmienić z gruntu warunki życia — ciężkie na znośne a z czasem i na pożądane.

T. Szumski.

ŚLADY ŻYCIA.

Tyle życia ile w czynie.

XXVI.

W dniu 17 b. m., znów ujrzeliśmy na naszej scenie „Straszny dwór“ Moniuszki, a zawdzięczamy to staraniom p. Leopolda Matuszyńskiego, zasłużonego artysty i reżysera naszej opery.

Dyrekcya Teatrów z powodu 35-letniego jubileuszu scenicznej pracy p. Matuszyńskiego, ofiarowała mu benefis, pragnąc tym sposobem uczcić jego rzeczywiste zasługi położone dla miejscowej sceny.

Arcydzieło więc nieśmiertelnego śpiewaka „Halki“ spoczywające czas jakiś na półkach teatralnej biblioteki, powróconem zostało scenie i publiczności, oczekującej z niecierpliwością na wznowienie tegoż.

Benefisowe przedstawienie zasłużonego jubilata, było dla nas prawdziwą ucztą muzyczną, a biorący w niem udział artyści naszej

opery, zdawali się być niemniej przejęci uroczystością owego wieczoru, stojąc na wysokości swego zadania, któremu też w zupełności uczynili zadość.

„Straszny dwór,“ bez zaprzeczenia, pierwsze zajmuje miejsce między dziełami zgasłego przedwcześnie mistrza. Odnajdując w nim bowiem wszystkie charakterystyczne zalety i piękności, jakiemi odznaczają się inne jego dzieła, spotykamy tu mistrza, który dojrzał, a kierując się doświadczeniem i nabytą wprawą, podniósł swego ducha do wyżyn geniuszu, obdarzając nas arcydziełem.

Geniusz Moniuszki rozrasta się tu do olbrzymich rozmiarów, a poparty gruntowną znajomością techniki, tworzy całość skończoną tak w głównych rysach jak i w wykończeniu szczegółów. Wszystko to cechuje pewne piętno swojskości, zdaje się nas owiewać jakiś wietrzyk przeszłości, gdzie cnoty obywatelskie i ciepło rodzinne jaśniały blaskiem czci i namaszczenia.

Mimo woli przenosimy się myślą w ubiegłe czasy, uprzytomniając sobie życie rodzinne naszych dworków i siół, i lubujemy się z rozkoszą w tym obrazku przeszłości.

Żaden z naszych kompozytorów, z wyjątkiem może Szopena, nie nosi na sobie tej cechy swojskości, jaką twórca „Halki,“ zapożyczywszy ducha od ludu, wlewa w swoje dzieła.

„Straszny dwór“ łączy w sobie siłę dramatu, z wdziękiem sielanki, a liryzm głównym tu jest żywiołem; jakkolwiek libretto, przyznać trzeba, dość słabo odtwarza tę siłę, którą w kompozycyi muzycznej znachodzimy.

Do najszczęśliwszych pomysłów genialnego naszego mistrza niewątpliwie należą: prolog, który odznacza się znakomitą instrumentacyą, a myśl wewnętrzna autora, przyobleka się tu w prześliczne szaty.

Już to w ogóle, co się tycze instrumentacyi, ta w ciągu całej opery odznacza się świetnością barwy, pomysłowością charakteru. Z wyjątkiem może finału aktu drugiego i wejścia myśliwych, który jakkolwiek oryginalny, jednakże na efekt obliczony i przedstawia się więcej jako trudne zadanie muzyczne.

W aryi z kurantem, autor dobiega do kulminacyjnego punktu swej pomysłowości i twórczego talentu. Zasłużone też oklaski zbiera w niej wraz z autorem p. Cieślewski. Rola Stefana znakomicie się nadaje do głosu i rodzaju talentu zdolnego tenora, i wykonanie tej roli przez p. Cieślewskiego chlubę mu przynosi.

Wiernym towarzyszem pancernym i bratem był mu p. Wasilewski, któremu przypadła rola Zbigniewa, a który wiele miał miejsc szczęśliwych, jak prolog i andante z duetu w akcie 3-cim; w ogóle p. Wasilewski bardzo dobrze śpiewa recitatiwa.

Role Hanny i Jadwigi powierzone pannie Wojakowskiej i pani Szlezygier, z których pierwsza miała sposobność wykazania swoich zasobów prześlicznego głosu, co się szczególniej uwydatniło w dość długiej, a może najmniej szczęśliwej aryi 4-go aktu.

Primadonna naszej opery, p. Dowiakowska biorąc skromny udział w benefisowem przedstawieniu, w niewielkiej roli Cześnikowej, swoim talentem podniosła ją znakomicie, a sama jej obecność na scenie nie mało się przyczyniła do uświetnienia opery. Strona komiczna opery znalazła znakomitego przedstawiciela w p. Ziółkowskim, który odtworzył postać wiernego i dzielnego sługi, quasi przyjaciela młodych Stolnikowiczów, i zdobył sobie szczery poklask i uznanie, szczególniej w scenie ze Skołubą, klucznikiem Miecznika, a którego znów reprezentował p. Siwicki. Młody ten śpiewak widoczne czyni postępy, szkoda tylko, że tak rzadko ukazuje się na scenie. Prawdziwym typem starego szlachcica był p. Kozieradzki w roli Miecznika, pomogła mu w tem wyborna charakterystyka twarzy i gra pełna godności i powagi. P. Szczepkowski (ojciec) pomimo tyloletniej pracy na scenie, zachował jednakże wiele jeszcze zasobów swego głosu, a rola Damazego, która mu w udziale przypadła, nic nie pozostawiała do życzenia. Operę kończy wesoły kulig i ochoczy, pełen werwy mazur, jakie tylko Moniuszko umiał pisać.

Jedyny może wyjątek stanowiła orkiestra, która niezawsze dopomagała artystom do wiernego i zupełnego wykończenia całości, chwiejąc się często i zacierając wiele pięknych szczegółów.

I któż temu winien?

Rozumie się, że nie smyczki, ani też trąby, lecz p. Quatrini, dyrygujący orkiestrą.

Chóry dobrze wyuczone, szły gładko.

Reasumując wszystko, jesteśmy prawie pewni, iż „Straszny dwór“ na długo będzie jedną z prawdziwych pereł repertuaru naszej opery.

Benefisowe przedstawienie rozpoczął trzeci akt „Hrabiny.“ Znaną jest wszystkim znakomita gra Żółkowskiego, który stał się główną jej ozdobą i dla którego głównie ta opera cieszy się niezachwianem powodzeniem. Wspominamy zaś o tem tylko dlatego, iż w akcie tym z „Hrabiny,“ przyjęła udział córka benefisanta, miłe sprawiwszy na widzach wrażenie, już to swoim wdzięcznym głosikiem, już to skromnem i pełnem powabu ułożeniem.

* * *

Przysłowie „przyszła koza do woza“ sprawdziło się nareszcie i na właścicielach domów w kochanej Warszawce. Tak, tak, gospodarze nasi, jak ich niektórzy nazywają, spuścili bardzo z tonu, o kilka oktaw nawet, a daj Boże, żeby zaczęli śpiewać falcetem. Wybaczcie mi to wsteczne dla was życzenie szanowni dobrodzieje nasi, wy władcy zwilgotniałych murów, dziurawych podłóg, popękanych sufitów, swędzących kuchen, dymiących pieców, niedomykających się okien, a w nich szyb spłowiałych, cholerycznych (proszę mi wybaczyć za dobitnie określające wyrażenie), waterklozetów, kosztowych i nieoświecanych wschodów; wy, dla których opłacane, przez krwawo na chleb pracującego lokatora, komorne w setkach rubli za kilka lichych ciup, nazywacie mizerną zapłatą, wybaczcie mi, powtarzam, boście zasłużyli na takie życzenie ze strony każdego porządnego lokatora. Trudno, dobrodzieje, „kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.“ Zanadtoście się rozigrali w podnoszeniu cen komornego; bo co kwartał podnosiliście około 25 procent mniej więcej, nie dbając o nic zgoła, tylko o własne tłuste kieszenie. Żadnego hamulca, żadnego wędzidła nie było na wasze szalone żądze, rozzuchwalone namiętności brzęczące. Wam się zdawało, że to tak ciągle będzie, i że dojdzie do tego, iż ludzie cały swój roczny dochód z pracy, składać będą na ołtarz waszych żądz, za zapleśniałe wilgocią i brudem mury. Stało się jednak inaczej, bo czy prędzej, czy później stać się musiało. I oto dziś zaczynacie obniżać cenę komornego. A dlaczegóżto? O, nie myślcie, ażebyśmy byli na tyle łatwowiernymi, by uwierzyć w wasze dobre dla ludzkości chęci — rozumiemy to dobrze jak i wy, że podobnemi chęciami piekło brukują. Oto pomieszkania wasze stoją pustkami, nikt ich nie najął, a św. Jan Chrzciciel już nadszedł i komorne kwartalne ulotniło się, proszę państwa, ulotniło się. Teraz chcielibyście to nadreparować i dalejże zdzierać, albo przekreślać karty i pisać nowe z obniżką komornego — znów o 25%. Lecz i to nie pomaga, bo już zapóźno w ostatnich dniach najmować lokal, i każdy, o ile możności, starał się tak urządzić, byście z szumnemi cyframi waszemi pozostali na koszu. Tak, tak, dobrodzieje, nic nie pomogą ani nowe karty, ani anonse w Kuryerach; sprawdzi się na nas przysłowie „chciwy dwa razy traci.“

A ja wam raz jeszcze życzę, co wypowiadam szczerze i otwarcie, ażebyście jaknajprędzej zaśpiewali nam *falcetem*.

* * *

Ale, ale, zapomniałem dodać pocieszającą dla was wiadomość, że podobno przy ministerstwie spraw wewnętrznych ustanowiono oddzielną komissyę, mającą jasno, dokładnie i szczegółowo, uważajcie panowie właściciele kamienic już postawionych i mających się dopiero urodzić, jasno, dokładnie i szczegółowo określić przepisy hygienicznego urządzenia mieszkań. Wiadomość tę, zapewne państwo przyjmiecie z ogromną radością ponieważ jesteście uczynni, łaskawi i dbali o zdrowie i wygody lokatorów waszych.

— Łaskawy czytelniku dla czego się tak śmiejesz z tego com dopiero powiedział?

— A niech cię kaduk porwie mój publicysto, żeby tak sobie kpić z kogoś...

— Ależ upewniam się czytelniku kochany, że to uraduje właścicieli kamienic.

— E... kłamiesz.

— No i rób co chcesz, kiedy ludzie nie chcą ci wierzyć.

— Bo nieprawda...

— Kiedy tak, to powiem państwu jeszcze jedną wiadomość, wiadomość tak nową i świeżą, że prawie ciepłą. Wiadomość ta zapewne bardziej jeszcze zachwyci właścicieli domów, rozentuzyazmuje ich nawet.

— Cóż to za nowa wiadomość?

— To jest wiadomość, która tu przyszła pantoflową pocztą za której wiarogodność nie ręczę wprawdzie, lecz która byłaby bardzo na czasie.

— Więc to nie wiadomość, ale pogłoska.

— Niech sobie będzie pogłoska.

— Ale mówże mi, jaka to pogłoska?

— Oto mają podobno znieść taksę z dorożkarzy, a wnieść ją na lokale. Czy tak dobrze będzie?

— Facecye mój drogi, facecye.

— *Dzieją się rzeczy w naturze o których się filozofom nie śniło.*

* * *

Pani Modrzejewska opuściła Warszawę, wyjechała, wyjechała na kilka miesięcy, a może na pół roku, a może i na rok i więcej nawet, lamentują, załamując ręce niektórzy poczciwi warszawiacy i poczciwe warszawianki.

— I gdzież pojechała?

— Do Ameryki.

— A mój Boże, gotowa już więcej nie powrócić do nas.

— Bądźcie państwo spokojni, przyjedzie, przyjedzie.

— A jak nieprzyjedzie?

— Ale przyjedzie. Czyto jej tu źle, czy publiczność jej nie lubi, czy nie ocenia?

— Owszem i lubi i ocenia...

— A więc cóż państwo chcecie?

— Żeby przyjechała, powróciła do nas, bo co będziemy bez niej robić.

— No jakby nie chciała do nas wrócić to przecież mówią, że panna Popiel ją zastąpi..

— Co p. Popiel?

— No, tak przecież mówią niektórzy a nawet piszą to i drukują.

— Alež to brednie, ażeby p. Popiel mogła zastąpić p. Modrzejewską.

— Tak, brednie. Ale ludziskom uroiło się tak w głowie i cóż im zrobić...

— Ma podobno przyjechać panna Deryng...

— Tak, przyjedzie...

— Więc będziemy mieli dwie: pannę Popiel i pannę Deryng.

— A tak dwie.

— Więc pocóż ta druga, kiedy mamy jednę?

— Owszem, bardzo potrzebna, bardzo.

— Ale dla czego?

— Bo kot, kotowi nie równy.

* * *

Komissya konkursowa...

— Co, znów komissya konkursowa?

— Tak, komissya konkursowa przy...

— Ale czy to jeszcze tego wielkiego warszawskiego konkursu?

— Tak jest, tego konkursu—komissya więc konkursowa przy.....

— Więc znów zaczną może na nowo sądzić odrzucone 37 sztuk dramatycznych, ażeby której z nich przyznać pierwszą nagrodę 600 rs.

— Ale gdzież tam...

— No, bom słyszał, że podobno między temi odrzuconemi znajdą się utwory niebyle jakiej wartości...

— Więc czegóż to dowodzi?

— Tego, że może komissya konkursowa chciałaby teraz postawić się jako sąd appellacyjny...

— Ale gdzież tam, gdzież tam ...

— Więc cóżeś chciał powiedzieć o tej komissyi?

— Oto to, że komissya konkursowa przy Dyrekcyi Rządowej Teatrów Warszawskich zawiadamia osoby interessowane, iż po ukończeniu prac swoich złożyła utwory nadesłane na rozstrzygnięty już konkurs w biurze Dyrekcyi Teatrów, gdzie autorom, lub osobom upoważnionym do odbioru, zwracane będą za udowodnieniem, codziennie od godziny dziesiątej z rana do trzeciej po południu.

— Czy to wszystko?

— Tak jest wszystko...

— A motywowane wyjaśnienie komissyi kiedy będzie?

— No cierpliwości panie dobrodzieju, cierpliwości.

— Tak, tak, *czekaj tatka latka.* Jak wszyscy już zapomną o Warszawskim konkursie, to wtedy może dadzą nam to *motywowane wyjaśnienie.*

— W tem właśnie sztuka panie dobrodzieju.

* * *

P. Minister Oświecenia Publicznego, na przedstawienie zwierzchności okręgu naukowego warszawskiego, jak donosi „Dziennik Warszawski," zezwolił na otwarcie klassy przygotowawczej przy gimnazyach żeński ch 2-em i 4-em w Warszawie i przy Warszawskiem gimnazyum żeńskiem o 3-ch klassach z początkiem roku 1876/7, z zastrzeżeniem wykładu w języku rossyjskim, oraz że wpis po 30 rsr. rocznie od każdej uczennicy pobierany, obróconym będzie na wynagrodzenie dla nauczycieli i na wszelkie wydatki na utrzymanie pomienionych klass podług etatu co rok zatwierdzanego przez kuratora okręgu naukowego Warszawskiego.

Oprócz tego czytamy w „Dzieniku Warszawskim: „Donoszą nam że Rada Państwa, w departamencie Ekonomi Państwa rosztrząsnąwszy przedstawienie Ministra Oświecenia Publicznego o ustanowieniu przy warszawskiej i łowickiej sześcio-klasowych szkołach realnych dodatkowych klas z odziałem mechaniczno technicznych, uchwaliła: 1) ustanowić od sierpnia 1876 roku przy tych szkołach dodatkowe klasy z oddziałem mechaniczno-technicznym; i 2) pozostawić Ministrowi Oświecenia Publicznego: a) potrzebne na utrzymanie tych klas w roku bieżącym rozchody, zaliczyć na rachunek mogących utworzyć się z obecnego budżetu Ministerstwa remanentów; i b) przypadające od przyszłego roku budżetowego, na utrzymanie każdej z tej klas pieniądze, w kwocie 2.225 rs. na każdą szkołę, z kasy państwa, zamieszczać w właściwych poddziałach rozchodowych budżetów Ministerstwa oświecenia publicznego.

W d. 27 kwietnia r. b., została powyższa uchwała Najwyżej zatwierdzona.

W upływającym roku szkolnym po raz pierwszy ukończą 6-tą klasę uczniowie trzech szkół realnych okręgu, a ponieważ według ustawy tych zakładów naukowych, uczniowie szkół realnych mogą wstępować do wyższych zakładów specyalnych dopiero po skończeniu kursu w klasie dodatkowej w jakimkolwiek z jej oddziałów, przeto z mającem nastąpić otwarciem tych klas, dla uczniów tutejszych szkół realnych otwiera się dostęp do wyższych szkół technicznych i daje im się możność uzupełnienia wykształcenia realnego w wyższej klasie dodatkowej, techniczne oddziały której stanowią istotną przynależytość każdej szkoły realnej. Oddział mechaniczno-techniczny, wraz z oddziałem handlowym, istniejącym już przy warszawskiej szkole realnej, ma największe znaczenie, albowiem przyspasabia młodych ludzi bezpośrednio do działalności praktycznej na polu techniki przemysłowej i handlowej i może przynieść istotny pożytek handlowi i przemysłowi.

Na uzupełnienie tego dodamy, że w trzech 6-cio klasowych szkołach realnych tutejszego okręgu, dnia 1-go stycznia r. b. było uczniów w warszawskiej 363, w włocławskiej 118: w łowickiej 227."

* * *

Posiedzenie wydziału matematyczno-przyrodniczego w Krakowskiej Akademii Umiejętności odbyło się w dniu 20 maja r. b.

Stosownie do wniosku sprawozdawców zadecydowano na tem posiedzeniu i odesłano do komitetu rozprawę p. *Franciszka Kamińskiego* p. t.: „Kilka spostrzeżeń nad rozwojem ramieńcowatych," potem Dr. *Rostafiński* wykładał w streszczeniu rzecz swojej rozprawy p. t.: „O przeobrażeniach i zmianie pokoleń w świecie roślinnym," przyczynek do filozofii botanicznej.

Nad tą rozprawą prowadzono szeroką dyskusyę, w której brali udział doktorzy: Mejer, Janczewski i Czerwiakowski, po której przekazano rozprawę tę komitetowi redakcyjnemu.

Nakoniec przedstawiono pracę Dr. *K. Olszewskiego* p. t.: „Rozbiór chemiczny wody żelaznej ze Zwierzyńca pod Krakowem."

* * *

Wszechświat coraz to bardziej powiększa się w oczach naszych.

Odkryto bowiem trzy nowe planetoidy: (160), (161) i (162). *C. H. Peters* w Clinton odkrył 160-ą planetoidę jedenastej wielkości. Watson w Anu Arbor odkrył 161-ą jedenastej wielkości, o czem p. *Le Verrier* zakomunikował Akademii Paryzkiej na posiedzeniu jej dnia 24 kwietnia, depeszą z Waschingtonu. I na koniec 162-ą planetoidę dwunastej wielkości odkrył p. *Prosper Henry* na dostrzegalni w Paryżu d. 21 kwietnia w nocy.

* * *

Dowiadujemy się z „Kuryera Lubelskiego" o wygotowaniu już projektu wzajemnej pomocy subiektów handlowych w Lublinie.

Celem tego stowarzyszenia będzie: 1) Udzielanie wsparć biednym subiektom, pozostającym bez zajęcia, rozumie się, jeżeli to nastąpiło nie zwłasnej ich winy. 2) Udzielanie wsparć biednem wdowom po subiektach. 3) Pomoc lekarska dla biednych subiektów w razie ich choroby. 4) Opieka nad sierota -

mi, pozostałemi po zmarłym subiekcie.

Jak widzimy, cel dobrze wytknięty, życzyć więc należy szczęśliwego zawiązania tego stowarzyszenia.

Zawiązanie to nastąpi wtedy, gdy po zatwierdzeniu ustawy przez władzę, przystąpi do stowarzyszenia najmniej 50 członków.

Wszelkie stowarzyszenia w najrozliczniejszych gruppach społecznych budują pomyślność ogólną i wzmacniają jednostki, które są niczem innem jak ogniwami całego łańcucha społecznego. Im silniej te ogniwa spojone są z sobą, tym pewniej byt ich umocowanym się staje i pomyślność ogólna zapewnioną bywa.

W Anglii od najwyższych do najniższych szczebli drabiny społecznej, stowarzyszenia najrozmaitsze grają niezmiernie ważną rolę; są niejako wcielone w organizacyę społeczną, zrosłe z nią. Tam też obowiązki obywatelskie najlepiej są pojmowane. A nic tak nie wpływa na wyrobienie poczucia obywatelskości, jak splatanie pracy i dążeń pojedynczych z pracą i dążeniami drugich.

Dla tego przyklaskujemy chętnie każdemu podobnemu objawowi na niwie społecznego życia naszego.

* * *

Ś. p. Józef Szalaj zmarły niedawno właściciel Szczawnicy, pozostawił testament, w którym zapisuje cały majątek dla dwóch synów swoich, z wyjątkiem wszakże zakładów zdrojowych w Szczawnicy, t. j. zakładu górnego i na Miodziusiu, które zapisał na wyłączną własność Akademii Umiejętności w Krakowie, z zastrzeżeniem, ażeby połowę dochodu rocznego z tych zakładów oddawano tymże synom jego.

* * *

Piękną jest rzeczą dobroczynność ludzka, dająca jałmużnę biednym i udzielająca wsparcia. Ale pożyteczniejszem jest podawanie ręki pomocy pracującym na chleb powszedni, a nie posiadającym obok całej usilności odpowiednich środków do zarobkowania. Otóż ułatwienie tych środków jest właśnie podaniem ręki.

Te słów kilka wypowiedzieliśmy z powodu okoliczności małych wprawdzie jeszcze rozmiarów lecz świadczącej o racyonalnie skierowanej myśli pomocy dla niektórych potrzebujących pracownic. Chcemy tu mówić o mającem nastąpić otworzeniu przez Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności sali do szycia na maszynach dla tych pracownic igły, które nie posiadają własnych maszyn. Każda więc biedna pracownica taka będzie mogła użytkować z maszyny Towarzystwa w sali onego.

Wiadomość tę niejedna pracownica igły przyjmie zapewne z radością. Życzyć więc należy by otwarcie to jak najprędzej nastąpiło o czem zapewne Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności nie omieszka podać do publicznej wiadomości.

DZIEDZICTWO LELGARDY.

PRZEZ NIEZNAJOMEGO AUTORA

przekład z angielskiego

L. Kuczyńskiej.

ROZDZIAŁ I.

Rocznica Urodzin.

Siedziałyśmy obiedwie z Lelgardą przy kominku w naszem szczupłem mieszkanku w Londynie, ona zajęta przeglądaniem skrawek atłasu i aksamitu, z których zręczne jej paluszki wyrabiały różne drobne eleganckie przedmioty na sprzedaż, ja oparta w wygodnym fotelu, odpoczywając po długim dniu spędzonym na mozolnem wciskaniu do tępych i opornych główek początkowych zasad arytmetyki i gramatyki. Przypominam sobie że owego mglistego listopadowego wieczoru trapiące myśli mię dręczyły: dowiedziałam się o za mierzonym wyjeździe kilku rodzin u których dawałam lekcye, w innych miejscach gdzie liczyłam na zapłatę spotkał mię zawód, z niezwykłą trwogą więc oczekiwałam nadchodzącego poniedziedziałku i tygodniowych rachunków; patrząc zaś na wdzięcznie pochyloną główkę mojej ukochanej siostry, więcej niż kiedykolwiek bolałam nad tem, że młodość jej musiała upływać w tej ciągłej walce z niedostatkiem. W tem Lelgarda podniosła głowę i rzekła:

— Joanno, czy pamiętasz co to będzie w przyszły Czwartek ?

— Chcesz powiedzieć co było na dwadzieścia jeden lat przed tym dniem, czy tak? odpowiedziałam przypominając sobie drobną czerwoną istotkę którą ja, dziesięcioletnia w ówczas dziewczynka z dumą i ostrożnie brałam na ręce.

— A to za nic liczysz że ja w przyszły Czwartek dochodzę do pełnoletności?

Biedaczka! Na co jej się zdało to przyjście do pełnoletności, kiedy niczego spodziewać się nie mogła? Ale nie chciałam jej zasmucać; stłumiłam więc moje westchnienie jak to często czyniłam. Ona mówiła dalej:

— Wiesz co Joanno, chciałabym czemsiś uczcić moje urodziny — czemsjś pamiętnym.

— Jeżeli będę miała godzinkę wolnego czasu po południu, to możemy pójść do Kensingtońskiego Muzeum, rzekłam na to, gdyż zwykle nasze marzenia dalej nie sięgały.

Lelgarda skrzywiła się trochę i potrząsnęła głową.

— To ci się niepodoba? Cóżbyś więc chciała? Pamiętaj tylko że ta uroczystość musi tanio kosztować.

— Czy nie mogłybyśmy zaprosić na herbatę Harrego Goldie? zagadnęła Lelgarda spoglądając na mnie z figlarną nieśmiałością.

Usiłowałam zachować całą powagę opiekunki.

— Moja droga rzekłam nieco surowiej, Harry Goldie jest młodym człowiekiem ....

Lelgarda przerwała mi serdecznym śmiechem.

— Temu nikt zaprzeczyć nie może, ale cóż z tego, Joanno?

— To, moja droga, że ponieważ ty jesteś młodą, a ja nie bardzo jeszcze starą, lepiej podobno będzie żeby Harry Goldie został u siebie na herbacie; a to mi przypomina żes mi przyrzekła nie nazywać go więcej Harrym.

— Czy tak? Wyszło mi to z pamięci; ale posłuchaj, Joasiu, zaproś go ten jeden raz na herbatę a będzie panem Goldie. tylko panem Goldie przez cały wieczór. Czy zgoda?

— Moja Lelgardziu, zastanów się nad tem że niejedna znajomość stosowna dla mnie, skromnej Joanny Smith, nie jest taką dla ciebie, Lelgardy Atheling: ja o tem nie zapominam.

— A jabym chciała żebyś o tem zapomniała, Joanno. Czem są dla mnie ci nienawistnie Athelingowie? Czyliż mię nie odtrącili od siebie, a pierwej jeszcze mego ojca? I za co? Za to że zaślibił kobietę którą kochał, i do tego taką kobietę jak nasza nieodżałowana matka!

— Oni nie wiedzieli *jaką* ona była, odrzekłam pojednawczo. Wiedzieli tylko *kim* była, panią Smith, wdową po wojskowym doktorze.

— Niedorzeczna pycha! zawołała Lelgarda. Ja to nazywam grzechem — grzechem pogardy godnym. To rzekłszy, podniosła główkę, i w tej chwili spoglądała tak dumnie jak tylko dziedziczka krwi Athelingów mogła spoglądać, a z pewnością piękniejszą była od nich wszystkich, chociaż chlubili się z piękności swego rodu. Jakkolwiek bądź, pomyślałam że niepowinna była tak się oburzać na wzmiankę o nierówności towaszyskiej pomiędzy nią a naszym sąsiadem artystą malarzem.

W tej chwili zapukano szybko do naszych drzwi, i zaczem zdążyłam odpowiedzieć: proszą wejść, ukazała się głowa pokryta gęstemi ciemnemi puklami, twarz młoda okolona podobnego koloru kędzierzawą lekko brodą, i farbami poplamiona bluza wisząca luźno na szerokich ramionach; słowem Harry Goldie we własnej osobie, zatłuszczony i nieuczesany, jak mówiła Lelgarda „malowniczy“ tak jak wyszedł ze swej pracowni.

— Przepraszam panie, stokrotnie przepraszam, rzekł pokornie; ale właśnie ukończyłem mój obraz, i myślałem — myślałem że panie może zechcą przyjść go zobaczyć?....

Mówił do mnie a spoglądał na Lelgardę. Widziałamże na nicby się tu nie zdał mój opór, gdyż moja siostra zerwała sie zaraz z krzesła i skwapliwie zawołała:

— O przyjdziemy, naturalnie że przyjdziemy!

Poszłyśmy więc do pracowni znakomitego artysty, pana de Lascelles, którego uczniem, pomocnikiem, prawie synem, był Harry Goldie, od czasu kiedyśmy zajęły w tym domu mieszkanie to jest od sześciu lat. Stałem mojem postanowieniem było nie zawierać żadnych znajomości od chwili kiedy ze śmiercią matki zostałam jedyną opiekunką młodziutkiej siostry; jednakże nie upłynął miesiąc pobytu naszego w tym domu, kiedy już nietylko zaznajomiliśmy się, ale niemal zaprzyjaźniły się z Harrym Goldie. Jego otwarta fizyonomia i uprzejme powitanie sprawiały nam prawdziwą

przyjemność; i młody artysta, który zawsze był na nasze zawołanie kiedyśmy go potrzebowały, a nigdy nie stawał się natrętnym, gotów był do oddania nam sąsiedzkiej przysługi, a z serdeczną wdzięcznością przyjmował podobną od nas, niebawem został naszym przyjacielem. Chodziło mi tylko o to, aby niczem więcej być nie zapragnął.

Pracownia pana de Lascelles była rzęsisto oświecona, obraz Harrego stał na sztalugach w samym środku: a przepyszne to było malowidło! Jego historya była następująca: Jakiś bogaty amator, którego pieniądze widać korciły w kieszeni, ofiarował dwieście gwinei za najlepszy obraz na dany temat, ponieważ współubiegającmi się byli sami młodzi i ubodzy artyści, pieniądze te miały służyć zwycięzcy tego turnieju na podróż do Włoch. Myśl obrazu wzięta była z piosnki Temysona: „Za późno! za późno!“ Tło było ciemne, przedstawiało posępną noc; całe światło padało z lamp oddalających się dziewic na główną postać— zrozpaczoną, zbolałą postać, postać, która miała być wcieleniem słów „za późno!“ Gdziem ja to już widziała? było pierwszą moją myślą; lepiej się przyjrzawszy poznałam rysy Lelgardy. Spojrzałam z wymówką na Harrego, ale on z tak prawdziwą niewinnością wzrok mój wytrzymał, że do dziś dnia jestem przekonaną iż sam nie wiedział o tem podobieństwie.

„Z pełności serca przemawiają usta,“ a pędzel malarza jest zapewne jego mową. Harry zamknął drzwi i spojrzał nie na malowidło, ale w oczy Lelgardy.

— A cóż? zapytał z żywością.

Lelgarda wydała okrzyk podziwienia.

— O panie Harry! to nie jest obraz, to prawdziwe natchnienie! Patrząc na tę nieszczęśliwą myśli się tylko o tem czy ona może mieć jeszcze nadzieję dostania się do nieba.

— Pomyśl pani także czy masz nadzieję abym ja się dostał do Włoch! odrzekł Harry.

— O! pan musisz uzyskać nagrodę, inaczej być nie może! Nikt przecie lepiej tego zrobić nie potrafi.

— Tego nie jestem pewny, w każdym razie jednak, życzycie mi panie szczęścia, nieprawdaż miss Atheling, nieprawdaż miss Smith?

Miss Smith wymówiło się trochę kulawo, ale mu to przebaczyłam, i życzyłam mu z całego serca powodzenia. Nie taję się z tem iż pragnęłam aby wyjechał z Londynu.

— Kiedyż pan się dowiesz o swym losie? zapytałam.

— We czwartek.

— We czwartek! zawołała Lelgarda. To dzień moich urodzin. Moje urodziny przyniosą panu szczęście: czy pan wierzysz temu?

To mówiąc podała mu przyjaźnie rękę.

Czas nam już było odejść, i zrobiłam tę uwagę, spojrzawszy przytem znacząco na moją roztrzepaną siostrzyczkę, która mi odpowiedziała lekkiem poruszeniem głowy trochę buntowniczem. Jakkolwiek bądź, pożegnałyśmy Harrego Goldie, i powróciłyśmy na nasze trzecie piętro.

Naszedł czwartek, i nie potrzebuję dodawać że z nim przyszedł i Harry Goldie, Lelgarda musiała przecie na swojem postawić. Gdym powróciła do domu z lekcyi, zastałam ją ubraną w swoję jedyną białą sukienkę, krzątającą się koło skromnej zastawy stołu do herbaty, który starała się ozdobić jak mogła najlepiej, rumieniąc się i blednąc naprzemiany, jak to było w jej naturze. Niebawem zadzwoniono silnie do bramy.

— Otóż i on! zawołała radośnie. Jak że się cieszę! Już wiem że otrzymał premium.

— Jakże możesz z taką pewnością mówić?

— Jakżebym mogła wątpić o tem, Joanno? Zawiedziony w swych nadziejach człowiek, nie zadzwoniłby w ten sposób. Ale zaraz się przekonam.

— Kochanko moja! przecie nie na schodach!... Ale ona już nie słyszała mojej mądrej uwagi, a ja tylko zdaleka dosłyszałam prędkie pytanie i wesołą odpowiedź, poczem nadbiegli oboje, Harry wołając:

— Wszystko dobrze, miss Smith, winszuj mi pani, w przyszły poniedziałek wyjeżdżam!

Winszowałam mu z całego serca, i nie tylko dla tego że miał się oddalić; przeciwnie, patrząc na niego jak siedział przy herbacie i z młodzieńczym apetytem zajadał chleb z masłem, myślałam sobie jak smutno będzie w domu i w ogóle na świecie, gdy zabraknie jego wesołej i życzliwej twarzy. Prócz tego, żal mi było biednego chłopca; smutno było pomyśleć że nie miał matki ani ojca: brata ani siostry, którzyby się jego powodzeniem cieszyli: nikogo prócz nas, które zresztą obce dla niego byłyśmy. Harry był sierotą, zawdzięczał swoje wychowanie dobroci pana de Lasalles; tyleśmy tylko o nim wiedziały, gdyż nigdy nie wspomniał ani słówka o swem pochodzeniu lub krewnych, co mię tem więcej dziwiło, że pod każdym innym względem bywał dziecinnie otwartym. Może w tej chwili uczucia Lelgardy odpowiadały moim, gdyż pobladła i stała się milczącą, nakoniec wstała od stołu i przybliżyła się do ognia jakby zimnym dreszczem przejęta.

— Zdaje mi się koniecznie jak gdyby dzisiejszego wieczoru miało się cóś nadzwyczajnego przytrafić, rzekła. A w tem drgnęła jakby za dotknięciem iskry elektrycznej, gdyż dało się słyszeć znane stuknięcie roznosiciela listów. Rozśmieliśmy się wszyscy.

— Mogłaś pozostać obojętną na przyjście roznosiciela listów, rzekłam, wiesz przecie że nigdy nic dla nas nie przynosi.

Zaledwie tych słów domówiłam, weszła służąca z listem w ręku, a co jeszcze dziwniejsza, z listem adresowanym do Lelgardy.

— Od kogóż to może być? rzekła obracając na wszystkie strony kopertę, jak to każdy zwykł czynić w podobnej okoliczności, zamiast od razu zakończyć wszelką niepewność otwierając po prostu list.

— Jakiś urzędowny charakter pisma. Wygląda na rachunek.

— Nie, dzięki Bogu, to być nie może, odparłam z żywością.... Lelgardziu dziecię moje, co się stało?

Lelgarda bowiem przebiegłszy list oczyma, zbladła jak chusta i osunęła się na krzesło. Harry Goldie poskoczył ku niej, jak gdyby gotów być bronić jej przeciw wszystkim i wszystkiemu.

Wyrwałam jej list z ręki mówiąc: Musiała zajść jakaś pomyłka. Lecz na szczęście nie zaszła żadna pomyłka. Dowiedziałam się w jednej chwili że to o czem niekiedy marzyłam jak o nieprawdopodobnem złudzeniu, stało się rzeczywistością; że skończyło się ubóstwo mojej Lelgardy, że odzyskiwała należne sobie prawa i stanowisko. List był od pana Gravesa, prawnego pełnomocnika rodziny Athelingów którym uwiadamiał Lelgardę, że ponieważ miss Atheling, przeżywszy swoję siostrę i współdziedziczkę miss Hildę Atheling, zmarła obecnie bez testamentu, posiadłość i zamek Athelstan, wraz z tytułami rent kilka tysięcy funtów rocznie przynoszących, stają się prawem spadku jej własnością, jako jedynej dziedziczki imienia i rodu Athelingów.

Niewyraźne mam tylko wspomnienie tego co po tem nastąpiło. Wiem że uspakajałam moję Lelgardę, która śmiała się i płakała na przemiany, i widzę jak przez mgłę twarz Harrego Goldie, która zdawała się wyrażać że najwłaściwiej było włożyć mi kaftan bezpieczeństwa i przywołać lekarza. Lecz gdy mu wszystko wytłumaczyłam, zacna ta twarz zasępiła się bardziej jeszcze; próbował wyjąkać coś nakształt powinszowania i rzekł zmienionym głosem:

— Nie przypuszczałem żeby coś podobnego stać się mogło.

— A ktoby mógł przypuścić? zawołała Lelgarda, ktoby mógł był przypuścić, że moja stara krewna Eteldreda, po wszystkich swoich zaklęciach, zapomni zrobić testament. Albo też może, gdy już do tego przyszło, nie mogła przenieść na sobie żeby odjąć Athelstan od Athelingów.

— Czy to znaczna posiadłość? zapytał żałośnie biedny Harry.

— Nie byłam tam nigdy, odrzekła Lelgarda.

Nastąpiła chwila milczenia, którą przerwał Harry wstając aby się pożegnać.

— Podobno mi wypada całkiem już panie pożegnać, rzekł — i pierwszy raz w życiu może niezręcznym był jakoś w mowie i w ruchach; panie zapewne będą miały teraz wiele zajęcia.

— Nie tyle jednak abyśmy pana widzieć nie mogły, — odparła Lelgarda podając mu rękę, którą ujął, jak uważałam, bez niebezpiecznej serdeczności, a Lelgarda— rzekła jeszcze: — Szczęście w jednym dniu nas oboje spotkało. Odwiedzisz mnie pan w Athelstanie, gdy powrócisz wielkim artystą?

— Dobrze! — zawołał z żywością i z zarumienioną twarzą, dobrze, układ zawarty. Gdy powrócę do Anglii wielkim artystą, przybędę panią odwiedzić.

To mówiąc patrzył wymownie na nią — ona na niego. Pora była przerwać ten wzajemny zachwyt.

— Dobranoc panie Goldie — rzekłam dobitnie.

On zarumienił się znowu, ukłonił się i odszedł.

Moja Lelgarda była w podnieconem usposobieniu, żartując i śmiejąc się, szczebiotała o swoich nowych widokach, czasem szydząc z nich i z siebie samej, a przytem tak zarumienione miała policzki i tak zimne dłonie, że się nie uspokoiłam dopóki jej nie namówiłam do łóżka. Późno w nocy przechodziłam się

nagle i przy niepewnem świetle latarni rzucającej blaski od strony ulicy, dojrzałam ją klęczącą przy łóżku z twarzą ukrytą na pościeli. Ten widok obudził we mnie przykre wspomnienie pewnego chorobliwego stanu, jakiemu przez jakiś czas podlegała w dzieciństwie, ale teraz była zupełnie przytomną, jak to zaraz poznałam, tylko gorzko płakała. Zawołałam na nią łagodnie po imieniu, powstała z kolan, przybiegła do mnie, i ukryła zapłakaną twarz na mem łonie. Nie pytałam co jej było? wiedziałam może lepiej od niej samej.

Przyciągnęłam ją tylko w me objęcia, ucałowałam ją i ukoiłam jej łkania, a gdy to przesilenie minęło, i położyła się obok mnie uspokojona ale osłabiona, szepnęła mi tylko:

— Nie trwóż się o mnie Joasiu, powinnam być wdzięczna i jestem: lecz i nasze dotychczasowe życie miłembyło, i trochę mi przykro rozstać się z nie mna zawsze.

ROZDZIAŁ II.

Kilka słów z przeszłości.

Nie zasnęłam już tej nocy, i ciężkie myśli snuły się po mej głowie. Gdy Lelgarda odpowiedziała na zapytanie Harrego Goldie o Athestan, „nigdy tam nie byłam,“ sumienie wyrzucało mi, że pozwalałam na to, aby siostra bezwiednie kłamstwa się dopuszczała. Lelgarda była już raz w Athelstanie, chociaż wszelkie wspomnienie tego pobytu, jak i wszystkich niemal okoliczności, odnoszących się do pierwszych ośmiu lat jej życia, zatarło się zupełnie w jej pamięci w skutek niebezpiecznej, upartej nerwowej gorączki, która w swoim czasie zdawała się zagrażać jej śmiercią, a co najmniej obłąkaniem. Dziękowałyśmy serdecznie Bogu obie wraz z matką, że nam pozwolił zachować przy życiu naszą pieszczotkę, bez gorszych skutków choroby, prócz tej utraty pamięci, oraz nerwowej lękliwości, wstawania i chodzenia przez sen, przerażających marzeń, tych wszystkich nocnych straszydeł, znanych dzieciom i osobom słabych nerwów. Z czasem jednak pozbyła się i tych dręczących mar, ale peryod czasu poprzedzający jej chorobę, pozostał dla Lelgardy próżnią, którą radzono nam nie probować zapełnić. Teraz wszelako zdawało mi się, że kłopotliwe powikłania, zwykłyby powstać w skutek jej niewiadomości o tym pierwszym pobycie w Athelstanie i umyśliłam po raz pierwszy mówić z nią o jej chorobie, i o tem co chorobę poprzedziło. W południe miałyśmy być u pana Gravesa, postanowiłam pierwej wszystko jej powiedzieć, przy śniadaniu więc tak zaczęłam:

— Wiesz co moja Lelgardziu, powiem ci jedną rzecz, która cię bardzo zadziwi: ty już raz byłaś w Athelstanie.

Spojrzała na mnie zdumiona.

— O! to być nie może, Joanno; przecieżbym o tem wiedziała.

— Było to wkrótce po śmierci twego ojca, między siódmym a ósmym rokiem twego życia. Znasz przecie jego historyę.

— Tak, wiem, że był w wojsku, i że te dwie okropne panny Atheling i ich ojciec, byli edynemi jego krewnemi, i zupełnie z nim zerwali po jego ożenieniu się z naszą ukochaną matką.

— Tak właśnie; ale tego nie wiesz, że po śmierci twojego ojca, matka nasza otrzymała list od starszej miss Atheling, stary squire już także nie żył wtenczas, w którym ofiarowała jej wziąć ciebie do Athelstanu, i uznać cię za spadkobierczynię, pod tym warunkiem, aby matka wyrzekła się ciebie całkiem i nigdy cię widzieć nie żądała.

Rumieniec oburzenia wystąpił na twarz Lelgardy.

— Nie powiesz mi przecie, żeby mama ten warunek przyjęła—rzekła krótko.

— Jeżeli to uczyniła, to tylko dla twego dobra, moje dziecię; sądziła, i ja tak samo myślałam, że nie miała prawa pozbawiać cię takiej sposobności odzyskania słusznie ci należnego dziedzictwa.

— Więc wtenczas tam pojechałam? Zupełnie tego nie pamiętam.

— Tak, biedaczko, pojechałaś. Miss Atheling przysłała po ciebie swoję gospodynię, i my z mamą myślałyśmy, że cię rzeczywiście na zawsze utracamy; ale moja droga, czy doprawdy nic a nic sobie tego nie przypominasz?

— Nie—odpowiedziała — zdaje mi się, że zupełnie nic; i zmarszczyła czoło, jak gdyby usiłowanie zbudzenia pamięci bolesnem jej było.

— Po upływie kilku tygodni, gdy żadnej o tobie nie miałyśmy wiadomości, nie mogłam wytrzymać, żeby nie zobaczyć czy jesteś zdrową i szczęśliwa. Zobowiązanie mamy mnie się nie tyczyło, byłam pod tym względem swobodną, wybrałam się przeto w drogę do Athelstanu. Była to dosyć uciążliwa podróż, przez całe hrabstwo Yorku, pocztową karetą. Zapewne sama Opatrzność mnie tam posłała. Już się zmierzchało, kiedy kareta wysadziła mnie na zakręcie drogi, skąd pieszo miałam dojść do oberży we wsi.

— Jak odważną byłaś Joasiu! a nie miałaś wtenczas więcej jak siedmnaście lat!

— Cóż mi się złego stać mogło? Byłam wprawdzie bardzo młodą, ale powierzchowność moja pospolita nie zwracała niczyjej uwagi. Gdym dążyła śmiało, ujrzałam wśród zmierzchu zimowego wieczoru drobną postać, biegnącą naprzeciwko mnie z zawiniątkiem w ręku.

— Czyż to ja byłam? Jakiż miałam zamiar?

— Skoroś mnie zobaczyła, w jednej chwili byłaś w moich objęciach, i ściskałaś mnie za szyję cała drżąca i zapłakana. Ja uciekam — rzekłaś do mnie: — uciekam do ciebie i do mamy. Nie mogę dłużej tu zostać, oni mnie na śmierć zamęczą, ja się tak boję! umrę ze strachu! Ach moja Lelgardziu! od tego czasu ilekroć mowa o przestrachu, staje mi zawsze w oczach twoja wylękniona twarzyczka.

— Nie mów mi o tem—przerwała, blednąc — ja znam to uczucie, nie chcę już słuchać o niem. Cóż dalej? Co uczyniłaś?

— Co uczyniłam? porwałam cię na ręce i zaniosłam cię do zakrętu drogi. Słyszałam, że za godzinę miała powracać tamtędy pocztowa kareta, i następnego dnia po południu byłyśmy już obie przy mamie, w naszem dawnem mieszkaniu, w którem do jej śmierci pozostawałyśmy.

— Zuch moja poczciwa Joasia! A potem?

— Potem przyszła twoja choroba, biedaczko; byłaś już w zatrważającym stanie kiedym cię przywiozła do Londynu. Zapewne już wtenczas, kiedym cię spotkała, musiałaś mieć gorączkę, wątpię bowiem, aby najgorsze nawet obchodzenie, mogło doprowadzić nieśmiałe i lękliwe dziecię, do tak zuchwale rozpaczliwego postanowienia jak ucieczka.

— Cóż na to powiedziała miss Atheligh?

— Miss Atheling dała nam poprostu do zrozumienia, że niczego już od niej spodziewać się nie możemy; i od tego czasu żyłyśmy z własnej pracy, i byłyśmy bardzo szczęśliwe, nieprawdaż pieszczoszko moja?

Lelgarda dumała głęboko.

— Dla czego mi o tem wszystkiem dawniej nie powiedziano?—zapytała nakoniec.

— Dla tego, że nam radzono nie budzić twej pamięci, jeżeli to uspienie było jej potrzebne. Nikt wtenczas nie myślał, żebyś jeszcze kiedy miała być w Athelstanie.

Nie chciałam jej tego powiedzieć, że przez długi czas po chorobie każde chwilowe przebudzenie pamięci, wywoływało u niej ataki nerwowej trwogi. Doktorzy powiedzieli, że nerwy jej musiały doznać gwałtownego wstrząśnienia, ale nic więcej dowiedzieć się nie mogłyśmy.

— A więc—rzekła, wzdrygając się Lelgarda—nie sama choroba moja, ale to co ją spowodowało, zrobiła ze mnie takie słabe, lękliwe stworzenie, bojące się ciemności, bojące się własnego cienia. Mogę podziękować kuzynce Eteldredzie za to wszystko co wycierpiałam.

— Miejmy nadzieję, że Bóg już jej przebaczył—odpowiedziałam—ale nie jestem pewna czy taką właściwie była myśl moja.

— A miss Hilda — rzekła jeszcze Lelgarda — dla czegóż o niej tu wzmianki nie ma, kiedy obiedwie były współdziedziczkami Athelstanu?

— Ja myślę, że miss Hilda musiała już wtenczas być chorą, chociaż dopiero w kilka lat później dowiedziałyśmy się przypadkiem o jej śmierci. Umarła względnie dosyć młodo, bo wiem, że znacznie była młodszą od siostry, a miss Atheling nie musiała mieć więcej nad pięćdziesiąt lat.

— Jakże bezbarwnem, smutnem i oschłem było ich życie — rzekła tęsknie Lelgarda. Wiesz co, Joasiu? trzeba ci było dawniej mi to wszystko powiedzieć, albo już wcale nie mówić. Teraz ze zgrozą myślę o mojem nowem dziedzictwie.

— Więc po to gwałt sobie zadałam, żeby usłyszeć, iż lepiej byłabym zamilczała, i przedemną stała moja siostra tak blada i drżąca, jak bywała w owych smutnych dziecięcych latach. Przemógłszy przykre wrażenie, rzekłam z całą wesołością na jaką zdobyć się mogłam:

— To bezbarwne, smutne i oschłe życie już się skończyło; ty moja Lelgardziu nowy tam porządek wprowadzisz, a na początek pośpiesz się i przygotuj do poważnej rozmowy z twoim prawnym pełnomocnikiem. Jak to szumnie brzmi!

ROZDZIAŁ III.

Athestan.

Oto już moja Lelgarda objęła w posiadanie swoje dziedzictwo i króluje pośród starych

ponurych pokoi i sztywnych ogrodów, które od wielu zapewne lat nie widziały nic podobnie młodego i świeżego. Athelstan leży w dzikiej stronie Yorkshiru; koleje żelazne krzyżują się w pewnej odległości od zamku; pocztowe powozy dowożą podróżnych od najbliższej stacyi o dziesięć mil odległej. Athelstan od wieków był w posiadaniu Athelingów, którzy chlubili się tem, że:

Atheling z Athelstanu

stał przy swem ognisku, gdy przyszedł Zdobywca. Chlubili się także jasnym włosem i białą cerą saksońskiej rasy, która od wieków cechowała mężny ród Athelingów. Nie wiem, czy sobie zawsze dobierali jasnowłose małżonki, dosyć, że z małym wyjątkiem wszystkie ich familijne portrety odznaczały się płowemi włosami i delikatnością płci, odpowiednią ich saksońskiemu imieniowi. Zamek pamiętał czasy królowej Elżbiety, zbudowany w kształcie E, jak wszystkie tamtej epoki szlacheckie dwory. W jednem skrzydle mieścił się wielki salon bawialny, w drugiem jak nam powiedziano „pokoje biednej miss Hildy.“ Stara gospodyni, która nam dawała te objaśnienia, westchnęła przy tych słowach. Ona jedna z całej służby została na miejscu; inni czy chowali urazę do Lelgardy za to, że w dziecińıstwie swem wzgardziła Athelstanem, czy dlatego, że była tak młodą, lub też, że nie była miss Eteldredą, dosyć, że wszyscy podziękowali za służbę. Pozostała pani Bracebridge, chociaż z początku traktowała nas z oziębłą grzecznością, która szpik w kościach mroziła, zdawała się stopniowo ulegać nieodpartemu wdziękowi obejścia Lelgardy, temu wdziękowi, który miał w sobie lekki odcień wyniosłości, przypominający może trochę miss Eteldredę, w takim stosunku, w jakim lemoniada przypomina ocet.

Otoczenie Athelstanu nie było bardzo piękne; od przodu ciągnęła się płaszczyzna, zarosła drzewami i poprzerzynana ulicami, która nie zasługiwała na nazwę parku, oparkanione warzywne i owocowe ogrody, od tyłu zaś sztywny, kwadratowy, kwiatowy ogród, dalej pole uprawne, a za tem wszystkiem ciągnęły się do nieskończoności jałowe bagna, trzciną zarosłe. Wewnątrz domu sprzęty pamiętały lepsze czasy; w niektórych pokojach biało pomalowane ściany i białe firanki żywo odbijały od czarnych dębowych lamperyi i takichże mebli, pokrytych białemi także, perkalowemi pokrowcami, a wszędzie było pełno familijnych portretów. Taką była posiadłość Lelgardy.

W pierwszych dniach swego tu pobytu, młoda dziedziczka niezmiernie była zajęta; przyjmowanie nowej służby, przeglądanie spisanych inwentarzy, narady z dzierżawcami, wszystek czas jej zajmowały. Była może trochę krępowaną spadłą na nią odpowiedzialnością, ale nie miarkowałam, żeby widok Athelstanu budził w niej jakiekolwiek dawne wspomnienia.

— Chodź Lelgardziu — rzekłam do niej jednego dżdżystego popołudnia, widząc, że siedzi jakby znużona, z głową na ręku podpartą, — podobno dosyć masz tych spraw poważnych. Chodź ze mną, zajmiemy się czem weselszem.

— Co można robić w taką pogodę? — odpowiedziała, otulając się pąsowym szalem. Moja delikatna siostrzyczka była prawdziwym barometrem, w słotny lub zimny czas kuliła się, jak podzwrotnikowa roślina.

— Właśnie dzień stosowny do zwiedzenia całego domu pod przewodnictwem pani Bracebridge; poczciwa kobiecina niecierpliwie na to czeka.

Lelgarda przystała na mój projekt: okrywszy się więc przezornie, kazałyśmy przywołać gospodynię i wyruszyłyśmy na zwiedzanie nieznanych krajów.

Obszedłszy jednak wszystkie kąty obszernego domu, pustkami stojącego, nie zyskałyśmy wiele na humorze, i z przyjemnością znalazłyśmy schody prowadzące napowrót do głównej, frontowej sali. Tu zawieszone były nowsze rodzinne portrety; znajdował się pomiędzy nimi wizerunek starego squira, oraz ojca Lelgardy, którego zaraz poznałam, chociaż przedstawiony był niedorosłym jeszcze młodzieniaszkiem.

— A kimże jest ta piękna, młoda kobieta w niebieskiej atłasowej sukni? — zapytałam.

— To moja nieboszczka pani, miss Atheling — objaśniła z uszanowaniem pani Bracebridge.

Byłam tego pewną, delikatne rysy i dumny ich, surowy wyraz, zupełnie odpowiadały wyobrażeniu, jakie sobie wyrobiłam o miss Etheldredzie. Surową była rzeczywiście i sprawiedliwą także, dlatego kochali ją podwładni; ale pomimo całej swej niezaprzeczonej piękności, nie pociągała bynajmniej oczu ku sobie.

— Może panie teraz zechcą obejrzeć pokoje biednej miss Hildy — zapytała pani Bracebrydge; sama nie wiem, dlaczego je trzymam ciągle zamknięte. Czy pani każe otworzyć?

— I owszem, — odpowiedziała Lelgarda z żywością — nieraz bowiem już żartowałyśmy z niebieskiego pokoju, zawsze zamkniętego. Wszedłszy doń, nie znalazłyśmy w nim nic nadzwyczajnego, wypłowiałe pokrowce na meblach, dużą wygodną sofę, misternej roboty hebanową szafeczkę, wykładaną kością słoniową, ciężkie karmazynowe jedwabne firanki u wązkiego okna, oto wszystko.

— Biedaczka wiele ucierpiała — rzekła smętnie staruszka — blizko przez pietnaście lat nie wychodziła wcale z tego pokoju.

— Jakaż była jej choroba?

Pani Bracebridge zawahała się chwilkę, potem odpowiedziała:

— Nerwowe cierpienie, proszę pani, powoli straciła zupełnie władzę w członkach, moja pani pielęgnowała ją z całem poświęceniem i była jedyną osobą która potrafiła mieć nad nią biedaczką przewagę, dla jej własnego dobra.

Przeżyć pietnaście lat zamkniętą w tym pokoju, pod władzą tej okropnej kobiety z lodowatem spojrzeniem, co za życie! Przyszło mi na myśl czy nieszczęśliwa ciotka mej siostry nie była obłąkaną i czy to dziedzictwo nie zagrażało także Lelgardzie. Obróciłam się aby spojrzeć na nią, i zobaczyłam ją stojącą bez ruchu przed staroświecką szafeczką, w którą wpatrywała się z jakiemś dziwnem błędnem natężeniem, które mię mocno zaniepokoiło.

— Gdzie ja mogłam widzieć sprzęt zupełnie do tego podobny? — rzekła ściągając brwi niecierpliwie, — zdaje mi się jak gdyby mi był oddawna znajomy. Czy jest co w tej szafeczce, Bracebridge?

Stara gospodyni nie umiała na to odpowiedzieć. Pan Graves zapisał ją i ocenił wraz z innemi przedmiotami, rzekła i klucz od niej wraz z innemi także oddał nowej pani. Lelgarda kazała sobie zaraz podać cały pęk rozmaitych kluczy, i wybrawszy ten który pasował, otworzyła szafeczkę. Wnętrze jej składało się z mnóstwa drobnych przegródek i szufladek.

— Nie będziemy pani dłużej zatrzymywać, — rzekła Lelgarda do gospodyni; — mam ochotę przejrzeć to wszystko, właśnie dziś pora po temu.

Pani Bracebridge spojrzała znacząco na zimny kominek, lecz Lelgarda upewniła ją, że nie czuła wcale chłodu; widocznie zajęta była szukaniem czegoś.

— O to mi właśnie chodziło! — zawołała gdyśmy zostały same, i zaczęła starannie przeglądać szufladki. Nic ważnego jednak nie znalazła. Miss Hilda, jakiekolwiek mogły być jej zmartwienia, zbyt rozumną była aby je powierzać pismu dla zabawy przyszłych pokoleń. Jeden gęsto zapisany zeszyt zawierał przepisy kuchenne i na drutowe roboty, prócz tego znalazł się zielnik do połowy tylko zapełniony, staroświeckie album, także tylko w części zapisane, oraz kilka zeszytów z rysunkami. Niektóre z tych szkiców były bardzo ładne, lekką choć nie zbyt wprawną ręką robione; kilka z nich oznaczone były datami, sięgającemi dwudziestu sześciu i siedmiu lat. Tu i owdzie napotykał się śmielszy rysunek, wyższej daleko artystycznej wartości te ostatnie przedstawiały po większej części krajobrazy okolic miejscowych, i zauważyłyśmy obie z Lelgardą, że na pierwszym planie każdego niemal z tych widoków umieszczona była ta sama postać młodej, wysmukłej panienki, przypominająca niby trochę samą Lelgardę, już w postawie stojącej, już to siedzącej lub na koniu.

— To nie jest miss Eteldreda, — rzekła Lelgarda. — Miałażby to być miss Hilda za dni młodości? W takim razie, trzebaby przypuścić, że artysta który to rysował, musiał być chyba zakochany w miss Hildzie.

Zrobiwszy tę uwagę, Lelgarda zarumieniła się i westchnęła.

— Smutno pomyśleć o tem wszystkiem. — rzekła jeszcze, jakby dla objaśnienia swego westchnienia. Biedna Hilda była wtenczas młodą i zapewne wesołą tak jak ja dziś nią jestem. Czyż mogła przewidzieć jakiem będzie jej życie!

Podczas gdy to mówiła, palce jej ustawicznie przesuwały się po zewnętrznych ściankach hebanowej szafeczki, czyniła to ciągle odkąd zaczęłyśmy sprzęcik ten oglądać.

— Dziwna rzecz jak mi to się wydaje znajome, — rzekła, — ale pewną jestem, że tu gdzieś musi być jakaś tajemna szufladka lub skrytka, tylko nie mogę znaleźć sposobu jej otworzenia.

— Musi być, powiadasz? Skądże to przypuszczenie?

— Ja sama nie wiem i to mię właśnie w kłopot wprowadza, czuję tylko, że tu musi być coś takiego—pewną tego jestem.

Czy się dawno uśpione wspomnienia budziły w jej umyśle? Jakkolwiek bądź, za późno już było dalsze poszukiwania prowadzić. Mrok zapadał i przejmujący chłód czuć się dawał w tym nieogrzanym od dawna pokoju.

— Chodźmy już stąd Lelgardziu, — rzekłam; pochorujemy się z zaziębienia. Chodźmy się ogrzać.

— Przeszkodziłaś mi! — zawołała niecierpliwie, — już byłam bliską celu mych usiłowań. Zdaje mi się, że mi już tylko jednego ogniwa brakuje do zebrania budzących się wspomnień.

Wtem drgnęła i uchwyciła mię za rękę, bo tuż blisko nas coś zaszeleściało, jakby fałdy jedwabnej sukni, poczem usłyszałyśmy głuche stuknięcie, jakby upadającego ciała, jednocześnie chłodniejszy powiew przebiegł przez pokój i silniejszy deszcz uderzający o szyby zdawał się zwiększać zapadającą ciemność. Przytuliłyśmy się do siebie jak spłoszone dzieci, a Lelgarda krzyknęła głośno. Na to weszła pani Bracebridge ze świecą, a ja też przynajmniej zaraz się opamiętałam.

— Zapewne myszy łaskawa pani, — rzekła gospodyni z uszanowaniem choć nieco wzgardliwie, odpowiadając na nasze objaśnienie niewczesnego przestrachu.

— Nie, tu jest coś, coś białego, — wyjąkała Lelgarda wskazując na ciemny kąt.

Pani Bracebridge postąpiła aby zobaczyć co to być mogło.

— W samej rzeczy, — powiedziała, — zupełnie zapomniałam, żego za tą szafką umieszczono. Pani musiała go posunąć wyciągając szufladki.

— Więc to jest?...

— Portret biednej miss Hildy, proszę pani, nic więcej.

ROZDZIAŁ IV.

Pani Bracebridge staje się rozmowną.

Tego samego dnia po obiedzie, siedziałyśmy obiedwie z Lelgardą przy kominku w salonie, gdy w tem siostra moja rzekła, rzucając trwożliwe spojrzenie ku ciemnym kątom.

— Wiesz Joasiu, ja nie nawidzę tego ponurego pokoju na przeciwko. Każę go napowrót zamknąć, i klucz oddam pani Bracebridge.

— Chcesz chyba żeby zaraz powiedzieli że duchy w nim mieszkają! Moja droga, upewniam cię że zanim tydzień upłynie, miałabyś historyę o strachach któreby ci całą służbę zdemoralizowały. Ani jednej sługi byś nie utrzymała.

— Już sama doznałam okropności tego uczucia, rzekła, wzdrygając się mimowolnie.

— Bośmy były tak dalece dziecinne, żeśmy się przelękły o nic. Posłuchaj mojej rady Ludgardziu. Każ w tym zaklętym pokoju codzień palić dobry ogień na kominku, otwierać w południe okna, kup perkalu w kwiaty różowe i niebieskie na firanki i pokrowce, potem zaproś z probostwa wszystkie siedmioro dzieci na herbatę, uczęstuj ich ciastkami i chlebem z masłem, pozwól im do woli biegać i hałasować, a upewniam cię że duch biednej mis Hildy, raz wystraszony, więcej nie powróci.

W tem drzwi otworzyły się zwolna. Lelgarda drgnęła i prawie rzuciła się w moje ramiona.

— Przepraszam, jeżelim panią przestraszyła, rzekła pani Bracebridge występując z cienia i niosąc dość duże kwadratowe płótno na ramach obciągnięte; pani życzyła sobie widzieć po obiedzie portret biednej miss Hildy, przynosze go więc.

Nudna baba! pomyślałam w duchu, jak gdyby już nie dosyć na dziś było o mis Hildzie; — ale nie mogłam nic powiedzieć bo gospodyni spełniała tylko rozkaz Lelgardy, powstałam więc wraz z nią obejrzeć portret.

Zadziwiliśmy się: zobaczywszy że był niekończony: draperye koło głowy i ramion były tylko naszkicowane, i wcale nie tknięte farbami. Twarz jedynie była wykończoną, ale już włosy nikły jakby we mgle, co dziwny, nieziemski wyraz nadawało rysom—delikatnie artystokratycznym, a tak podobnym do rysów miss Atheling, że tem silniej uderzała różnica ich wyrazu. Bo twarz Hildy była miłą i tak słodką że się zapominało o jej zupełnym braku enegii. Ja przynajmniej zupełnie darowałam jej tę słabość, gdy sobie przypomniałam surową, zimną twarz widzianą w salonie, i pomyślałam że miss Eteldreda znacznie starsza była od siostry, i zapewne przez całe życie prowadziła ją żelazną ręką. Dwie te twarze tak do siebie podobne, zdawały mi się same opowiadać własną historyę i pojmowałam teraz, jakim sposobem obie te siostry wzajemnie na siebie oddziaływając zrobiły się tem czem były. Na rumianych ustach młodszej igrał swobodny uśmiech, ładne niebieskie oczy patrzyły wesoło, a jednak spojrzawszy na portret mimowoli wyrzekłam: „biedaczka!"

— O rzeczywiście można to o niej powiedzieć! podchwyciła pania Bracebridge z westchnieniem które jak mi się zdawało wydane było w celu wywołania zapytań. Lelgarda uczyniła zadość temu życzeniu, zawołała bowiem z żywością:

— Dla czego to śliczne malowidło zostało nie ukończone i nie wstawione w ramy?.. O! ależ kto to mógł zrobić?... Bo na samym środku płótna, tuż przy twarzy, była szeroka plama zrobiona farbą, jak gdyby gniewna lub niedbała ręka otarła mokry pędzel, nie zważając gdzie trafi.

— Ach! to długa historya — rzekła na to stara kobieta, widocznie pragnąca tę historyę opowiedzieć.

— Jeżeli przytem smutna, zaczekajmy z nią do jutra—wtrąciłam—lecz Lelgarda nie zważając na moje słowa, wskazała krzesło starej gospodyni i rzekła:

— Siadaj więc kochana pani Bracebridge i opowiedz nam to, a ja pani tymczasem naleję filiżankę herbaty. Bo pani tak zupełnie należysz do tego domu—dodała z właściwym sobie wdziękiem—daleko więcej odemnie; sądzę więc, że powinnam od pani dowiedzieć się wszystkich szczegółów, tyczących się rodzinnych stosunków; chciej pani zatem mówić.

— Ja naleję herbatę—rzekłam, biorąc w rękę ciężki srebrny imbryk, i śmiejąc się w duchu z mojej siostrzyczki, która zbroiła się w powagę pani domu, dla ubarwienia swej chęci zaspokojenia ciekawości, za pośrednictwem gadulstwa starej sługi.

— Będzie już temu ze dwadzieścia siedm lat, odkąd portret miss Atheling został skończony, a ten zaczęty—mówiła uroczyście pani Bracebridge; malował je oba gentleman nazwiskiem Hamilton, jeden z londyńskich artystów. Wiadomo paniom, że stary squire żył jeszcze wtenczas, i on sam sprowadził tego młodego gentlemana na kilka letnich miesięcy, czemu się wszyscy dziwili, żeby zrobił portrety obudwóch młodych miss, dawał lekcye rysunków miss Hildzie, i zdjął widoki okolic.

— W jakimże wieku były wtenczas moje kuzynki — zapytała Lelgarda, która z natężeniem słuchała.

— Pozwól mi pani pomyśleć... tak, miss Atheling miała przeszło trzydzieści lat, a miss Hilda, jak sobie przypominam, właśnie dochodziła pełnoletności. Ja niedawno przed tem nastałam do zamku, i byłam pierwszą pokojówką pod rozkazami starej gospodyni; *niani*, jak ją powszechnie nazywano, wypiastowała bowiem obie panienki, i paniczów, którzy w dziecinnych latach poumierali.

— Czy ona tu była jeszcze, kiedy ja...—tu zacięła się Lelgarda, ściągając brwi, jak gdyby usiłowała coś sobie przypomnieć.

— Była, łaskawa pani, ale już od kilku lat zajmowała się tylko pielęgnowaniem miss Hildy, a miss Atheling raczyła mnie powierzyć obowiązki gospodyni. Nie potrzebuję paniom mówić— ciągnęła dalej — że pomiędzy służbą zawsze bywają plotki, choćby im nie wiedzieć jak tego zabraniać; wkrótce też wszyscy, ile nas było, mówiliśmy pomiędzy sobą o miss Hildzie i o panu Hamiltonie.

Lelgarda i ja spojrzałyśmy znacząco po sobie. (d. c. n.)

LISTY O WYCHOWANIU.

I.

Upokarza mię i cieszy prośba, droga przyjaciółko, iżbym ci podała kilka pewnych rad, co do wychowania i prowadzenia dzieci; upokarza mię, bo w twoim wieku, nie myślałam wcale o tak ważnej sprawie, bo zostawiłam moje maleństwo na łasce bon, i drżę na myśl ile słusznych wyrzutów mogłyby mi te dzieci uczynić, gdyby nie traf szczęśliwy, żem się ocknęła dość wcześnie z tego moralnego owego odrętwienia, że przezwyciężywszy lenistwo, samam się niemi zaczęła zajmować. Ciągła baczność dozwoliła mi zbadać ich charaktery, z chęcią więc spostrzeżeniami memi z tobą się podzielę.

A najprzód, znajdowałam się raz w towarzystwie kilku podżyłych pań, które rozmawiając o początkowem wychowaniu utrzymywały, iż pierwsza kąpiel dziecka powinna byc ciepłą, późniejsze zaś stopniowo coraz chłodniejsze. Długo nie chciałam zgodzić się na

to, doświadczenie jednak nauczyło mię, że dziecko nigdy nie będzie mogło znieść zmiennej temperatury powietrza, nigdy nie zahartuje się dostatecznie, jeżeli właśnie z samego początku, nie wzmocnimy jego nerwów, zimnem obmywaniem całego ciała. Te same kobiety powstawały przeciw poduszkom puchowym i zachęcały, do używania twardych materacyków włosianych; a ja najzupełniej znów zgadzam się z niemi w tym względzie, gdyż puch, rozmiękcza kości, osłabia kość pacierzową, na której się opiera budowa całego naszego ciała, a nadto, czyni dzieci skłonnemi do wiecznego kataru i kaszlu; czego uniknąć można przyzwyczajając je od urodzenia do twardego posłania.

Jeszcze lepiej, jeżeli w łóżeczku, zamiast materacyka włosianego, lub puchowego, jest siennik, siano bowiem jest miększe i elastyczniejsze, utrzymuje dosyć długo świeżość, i z łatwością daje się zmienić. Z tych więc powodów, radzę ci używać materacyków napchanych sianem, które zmieniać co dwa lub trzy tygodnie należy.

Mówiąc o posłaniu, nie mogę nie wspomnieć, że zgubnem jest także okrywanie staranne dzieci w czasie snu. Dzieci moje nigdy innego nakrycia nie miały, jak lekką kołderkę, a i ta najczęściej zsunęła się we śnie. Lekarz zapytany o przyczynę takiego odkrywania się, oświadczył, że to jest ruch naturalny trwający do trzeciego lub czwartego roku życia, którego wzbraniać nie należy. Życie dziecka, jest silniejsze niż u dorosłych, obieg krwi silniejszy, krew sama gęstsza niż u osób dojrzałych; zrzucanie z siebie okrycia okazuje potrzebę ochłodzenia się, i jeżeli cugów nie ma w pokoju, nie można się temu sprzeciwiać.

II.

Za drugi peryod rozwoju dziecka, uważam chwilę wyrzynania się ząbków. Mój chłopczyk najstarszy dostawał pierwszych przy silnej gorączce i dosyć ciężko, późniejsze lżej wychodziły, lekarz poradził dawać mu posilniejsze potrawy. Przy zwyczajnej porcyi mleka, którego wypijał po cztery kufle na dzień, zaczęłam mu dawać zupę, jarzynę i mięso. Ku wielkiemu zdziwieniu, chłopiec niczego nie tknął, zobaczywszy jednak owoce, z chciwością rzucił się na nie. Wzięłam to sobie za skazówkę, i nie przymuszając go do jedzenia potraw których nie lubił, zaczęłam mu dawać po trochu owoców. Początek najdoskonalej się udał i chłopczyk przez długi czas, cieszył się najlepszem zdrowiem. Inaczej było z moją najmłodszą córeczką, która tylko mięsem żywić się chciała, to mię naprowadziło na myśl, że wszystkie stworzenia tak ludzie jak i zwierzęta, mają instynkt naturalny, któremu sprzeciwiać się nie należy gdyż każden gwałt zadany naturze, skrzywia ją i osłabia.

Powracając do mego najstarszego chłopczyka, zauważałam w nim dużo uporu i niepohamowaną chęć do krzyku. Ażeby temu zapobiedz, uciekałam się do najrozmaitszych sposobów, ażeby go zabawić i rozweselić. Często udawało mi się odwrócić tym sposobem jego uwagę od żądanego przedmiotu najczęściej jednak trzeba było sprzeciwiać się mu; raz spostrzegłam, że mały Julek, mający już lat dwa, koniecznie domagał się szklanki stojącej na stole. „Nie można tego ruszać!" powiedziałam mu; chłopczyk westchnął i zamyślił się; po chwili obszedłszy na około stołu, stanął z drugiej strony i wyciągnął rączkę, usiłując dostać szklankę. Spostrzegłszy to, odsunąłem ją dalej, surowym głosem wymówiwszy te słowa „Nie dostaniesz!"

Chłopczyk spojrzał na mnie ze zdziwieniem, parę razy westchnął, położył główkę na krześle i usnął. Odniosłam go do łóżeczka, życząc sobie w myśli, ażeby ta pierwsza próba posłuszeństwa wywarła wpływ dobry na dalsze postępowanie.

III.

Dzieciom nie należy się często sprzeciwiać, bo to je zatrważa, a dobrego skutku nie odnosi. Trzeba czasem nie zwracać uwagi, na małą psotę wyrządzoną—tem więcej jednak, być stałą w wymaganiu, skoro idzie o rzeczy ważniejsze. Jean Paul Richter, radzi używać *„pst"* skoro dzieci zaczynają hałasować, i stają się natrętnemi; ja zawsze używałam słowa *„nie"* krótko i stanowczo wymówionego, od którego żadnej appelacyi nie było. Najlepszy to i najprędszy skutek wywierało.

Mam wiele do zarzucenia matkom i nauczycielkom, które, bądź to z nałogu, bądź z poczucia obowiązku mentorskiego, nudzą dzieci długiemi kazaniami. „Staramy się je przekonać, o niewłaściwem ich postąpieniu i o prawdzie słów naszych!" odpowiadają mi chórem, te szanowne przestrzegaczki cnoty, moralności, a najwięcej cichości i grzeczności (gdyż tu o małych dzieciach mówimy). Chwalebnie łaskawe panie, ale pozwólcie mi wątpić o dobrym stąd skutku. Dziecię słuchające Was z uwagą—z obawy surowej kary, myśli w duchu, iż jesteście w złym humorze, i dla tego je łajecie, albo, że nie macie czego innego do roboty, w każdym jednak razie, podobne rozumowanie, tylko Wam szkodę przynosi, a małemu winowajcy, najmniejszego pożytku. Najlepiej więc jest, nie wdawać się w długie rozmowy o przewrotności natury ludzkiej i niewdzięczności dziecięcia, obsypywanego dobrodziejstwami, lecz spokojnie skarciwszy, starać się, aby o i le możności, usuwać pokusy do złego.

Na potwierdzenie słów moich, niech posłuży zdarzenie z moim najstarszym chłopczykiem.

Julek miał dwa lata, gdy pewnego poranku żądał książki z rysunkami, leżącej na stole. Odmówiłam mu stanowczo; chłopczyk rzucił się na podłogę, bił nóżkami i krzyczał; chciałam go uspokoić, ale wyrywał mi się z rąk, z gorszym jeszcze krzykiem. Namyśliwszy się wyszłam cichutko z pokoju i zamknęłam drzwi za sobą. Chłopczyk długo jeszcze płakał, nareszcie uspokoił się. Zajrzałam przez dziurkę od klucza, siedział na podłodze i bawił się szpagatem, w końcu zmęczony usnął. Zostawiłam go w spokoju, a gdy w pół godziny później, obudził się, zapytałam łagodnie: „czy chcesz Julku mleka?" Biedny chłopczyna, tak był zadziwiony tą moją łagodnością, że poszedł do mnie nieśmiało i wpatrywał się we mnie z niedowierzaniem. Nie mógł pojąć, że ta sama osoba, która go zamknęła w pokoju, i pozwoliła mu płakać i krzyczeć, teraz przemawia łagodnie i uśmiecha się serdecznie.

Przygoda ta dobry skutek wywarła; kilka podobnych zdarzeń, przekonały mego najstarszego synka, o potrzebie posłuszeństwa, i śmiało mogę powiedzieć, iż dzieci moje przez całe najmłodsze lata cieszyły się szczerą wesołością i dobrym humorem.

Stałość moja, oszczędziła im milionów łez, a łagodne i jednostajne postępowanie, przekonało o mojej ku nim miłości.

Julek już powrócił z uniwersytetu, a moja najmłodsza córeczka, kończąca rok trzeci, siedzi w obecnej chwili, u nóg moich, i bawiąc się z lalką—często stuknie, lub głośniej się zaśmieje; jedno zaś słowo moje „cicho", przywraca milczenie i dziewczynka, uważając na moje zajęcie, ciszej się z lalkami pieści.

IV.

Pewnego razu zapytano mię, czy należy okazywać miłość i przywiązanie dzieciom, czy też zachowując w obec nich srogą postawę, surowo i stanowczo je prowadzić? Odpowiadałam zawsze na to pytanie: „że jeżeli Pan Bóg, pomimo iż jesteśmy wielkimi grzesznikami, nie przestaje nas obsypywać swemi łaskami, daje nam światło słoneczne, kwiaty, bujną roślinność i przyjemności inne, jakże byśmy my mogli obchodzić się surowo z dziećmi, słabemi istotami, postępującemi źle, przez niewiadomość." Czemże ojcze chcesz upokorzyć syna Twego, gdy on nie zna Twojej miłości? Okazuj mu ją, kiedy na to zasłuży, a jeżeli zgrzeszy, okaż mu nieukontentowanie dziecię poznawszy różnicę między nagrodą i karą, strzedz się będzie na tę ostatnią zasłużyć. Ale pominąwszy wszelkie kary i napomnienia, pozwólcie mi Szanowni Rodzice, jedno sobie pytanie zadać: „na co przyda się nasza miłość dla dzieci, gdy jej im nie okażecie? Czy dla czczego powiedzenia, że je kochacie? Nie, tak złemi, tak wyzutemi z uczucia rodzicielskiego być nie możecie—czy więc sądzicie, że wychowując, pielęgnując, ucząc dzieci, okazujecie im miłość? Nie, wykonywacie tylko Wasze obowiązki, za które dzieci bynajmniej Wam nie potrzebują być wdzięcznemi. Muszą się uczyć wtedy, kiedyby się chciały bawić i do tego jeszcze muszą rozpływać się w uczuciu wdzięczności; ciągle tylko słysząc opowiadania o miłości rodzicielskiej, doczekać się tego szczęścia nie mogąc.

Rodzice nie powinni pozbawiać dzieci zbawiennego ciepła miłości i przywiązania, bo to rozwija wszystkie dobre skłonności; a jak słońce, potrzebne jest do wykształcania pięknych roślin i kwiatów, tak miłość rodziców, to słońce moralne, konieczne jest do rzeczywistego kształcenia serc i umysłów dziecięcych. Dziecię prowadzone srogo, nigdy nie będzie miało ufności do Ojca i Matki. Z obawy, będzie się ratowało kłamstwem, przebiegłością, przyzwie na pomoc cały swój mały zapas wykrętów i innych wiele występków.

V.

„Najprzód należy zbadać cel, a później wytknąć sobie najprotszą do niego drogę i śmia-

ło nią postępować!" mówi Jean Paul, a w drugiem miejscu dodaje: „najprzód wykształcił się człowiek, a później dopiero stał się obywatelem ziemskim; przyszłość zaś nasza jest nam nie znaną!"

Słowa te, powinny nam kobietom dodawać otuchy do gorliwszej jeszcze pracy nad wychowaniem dzieci naszych; gdyż my jedynie wykształcamy je na ludzi, my też zaszczepiamy w nich pierwsze poznanie złego lub dobrego, my kształcimy ich serca i umysły. Dzieci nie umiejąc jeszcze wymawiać tego słowa „Bóg" nie rozumiejąc jego znaczenia, mogą się ćwiczyć w wykonaniu jego przykazań. Naprzykład, cóż jest łatwiejszego, jak zaszczepianie w dzieciach sprawiedliwości!

Mając troje dzieci, usiłowałam połączyć je między sobą oprócz naturalnych związków krwi, ściślejszym stokroć węzłem miłości braterskiej. Każdego dnia w porze podwieczorku przynosiłam im pewną ilość owoców, lub konfitur, mówiąc: „Dziś Julek, albo Mania, zajmą się podziałem podwieczorku!" I nigdym się nie mieszała, nie poprawiała podziału; z zadziwieniem jednak patrzałam, na poważną minkę dzielącego i często zastanawiałam się, nad wrodzonem uczuciem sprawiedliwości, w tak małych stworzeniach.

Dziecko dopóty się męczyło, dopóki wszystkie porcye, nie były zupełnie równe, jednak nigdy ich za to nie chwaliłam, z bojaźni, żeby dziatkom moim nie przyszła myśl do głowy, że mogłyby inaczej uczynić.

Starałam się nigdy nie używać słowa „hultaje, nic dobrego"—gdy dzieci moje widząc ulicznika, prosiły, żebym im pozwoliła bawić się z niemi; odpowiadałam tylko „nie można moi drodzy, bo te dziatki są niegrzeczne, i mogłyby was czego złego nauczyć; nigdy jednak nie tłumaczyłam im różnicy, między bogatemi i ubogiemi, bo pycha łatwo się w serca dziecinne zakrada. Wogóle strzedz dzieci zawsze należy, od wczesnego zrozumienia różnicy stanów i położenia światowego, więc nie należy ganić np. sług w ich obecności i starać się wpoić w nie uszanowanie i uprzejmość dla osób, które się niemi zajmują. Nie należy pozwalać na najmniejsze nieuszanowanie bony i nauczycieli; gdyż nigdy tam posłuszeństwa nie będzie, gdzie dziecię widzi w bonie lub guwernantce, nie starszą i doświadczoną osobę, lecz najemnicę, której się płaci za ciężką, a często i niewdzięczną pracę. Dziecię nie jest w stanie zrozumieć, że ludzi biednych i pracujących na chleb, równie jak bogatych, szanować należy; przeciwnie, obchodzą się z niemi lekceważąco, pozwalają sobie żartować z nich, a co gorsza, częstokroć im figle płatać.

Na takie psoty, Rodzice powinni szczególną uwagę zwracać, bo to zarodki okrucieństwa, lekceważenia wszystkiego i wszystkich i wad wielu innych. Również wystrzegać się należy opowiadania w obecności dzieci zdarzeń sąsiedzkich, rozmaitych ploteczek salonowych, i objawiania swojego zdania, o krewnych i znajomych. (d. n.)

TEATR.

PODRÓŻ NA OKOŁO ZIEMI w 80 DNIACH

Dzieło sceniczne w 14-tu obrazach, przez pp. Verne i Dennery, z muzyką Suppego.

(Dokończenie.)

OBRAZ VIII.

Szanowny prezes Excentric-klubu szykbo zakreśliwszy stopami swemi mozolną drogę przez cztery części świata wraz z wiernym swoim Passepartout i towarzyszami obojej płci, któremi go los udarował, przybił nareszcie do San-Francisco, po wielu przykrych i urozmaiconych przygodach podróży, opisanych i nieopisanych powyżej.

W San-Francisko nie można było zatrzymywać się długo, bo każda chwila droga, a czas ubiegał szybko, bez wytchnienia. Za dwie godzin odjeżdża pociąg kolei żelaznej, który na skrzydłach pary przebiedz ma całą szerokość Ameryki północnej od jednego końca do drugiego. Trzeba więc korzystać z okoliczności i stanąć za siedm kwandransów na dworcu. Passepartout, porządnie wytrawiony morską podróżą, zapragnął skorzystać z przystanku i pokrzepić ściśnięty żołądek swój. Niedaleko szukając, wśliznął się do knajpki hotelowej, a usadowiwszy się wygodnie przy stoliku, kazał sobie podać coś dobrego do zjedzenia i coś jeszcze lepszego do wypicia. Ale że francuzi nie lubią być krępowanymi, więc Passepartout zdjął z siebie torbę podróżną, i wyjął z zapasa rewolwery, które to efekty tamowały mu swobodę ruchów ciała, tyle pożądaną przy spożywaniu darów bożych, a położywszy na stole jedno przy drugim, oddał się smakowicie spożywczym dumaniom.

— Wiesz co obywatelu cudzoziemcze, podobałeś mi się, rzecze, przysuwając się do lokaja ogorzały, o czarnych wąsach i brodzie jakiś Amerykanin.

— Wszystko mi jedno mój panie, odpowiada na to Passepartout.

— Dla czego wszystko jedno? My Amerykanie szanujemy cudzoziemców i jesteśmy dla nich gościnni.

— Nie zawracaj mi pan głowy waszą amerykańską gościnnością.

— Oho, mój przyjacielu, ze mną nie tak łatwo, tyś mi się podobał i chcesz czy nie chcesz, musisz wypić ze mną amerykańskiego napoju.

— Ale ja nie chcę, dziękuję panu.

— Co to, dziękuję — tylko chory nie pije, ale tacy obywatele jak my, to nigdy za kołkołnierz nie wylewają.

— Hej garson! dajno butelkę tego, co to z wodą się używa.

Po cichu zaś gościnny Amerykanin szepnął do ucha garsonowi, by wodę wylał w butelkę, a mocny spirytusowy trunek w karafkę od wody.

Nowo zaznajomieni z sobą towarzysze kieliszka, wypili już po kilka szklanek amerykańskiego, który, mówiąc nawiasem, bardzo smakował służącemu *gentelmana* i poufałą cięli z sobą gawędkę, w której oratorem był głównie Amerykanin, a interlokaturem Passepartout.

— Mój przyjacielu, kontynuje Amerykanin, dorobiłem się tedy kolosalnego majątku w tej kopalni złota.

— Aha, złota — odpowiada rumieniąc się Passepartout.

— Tak, tak złota. Bo to widzisz — kończy Amerykanin kreśląc palcem po stole — tędy szła żyła, powiadam ci żyła złota.

— Żyła złota.

— Tak złota.

— A to pię-pię-piękna ży-ży-żył...

I zakonkludował silnem chrapnięciem, spojony przez Amerykanina Passepartout.

— Nareszcie usnął—rzecze szatańskim głosem Amerykanin — teraz do dzieła. W tej torebce są pieniążki mister Fogga, tego złodzieja banku angielskiego. Zabierzmy je.

Operacya trwała kilka sekund i wszystkie banknoty z torby podróżnej przesunęły się do kieszeni Amerykanina.

Nie — rzecze, wstrzymując się — wszak nie jestem złodziejem, te pieniążki biorę tylko w depozyt dla oddania ich bankowi angielskiemu, któremu przynajmniej choć w części stratę zwrócę. Trzeba więc dać pokwitowanie. I rzetelny Aamerykanin schował do torby Passepartout karteczkę w tym sensie:

„Przyjąłem w depozyt pieniądze, znajdujące się w tej torbie i z odbioru takowych niniejszem kwituję." „Fix.'

Zręczny agent policyjny wymknął się szybko za drzwi, pozostawiając śpiącego kamieniem, jak to mówią Passepartout. Ten ostatni byłby spał Bóg wie jak długo, gdyby nie garson restauracyjny, który go gwałtownie szamotaniem przebudził, żądając zapłacenia rachunku.

Biedny Passepartout marzył chrapiąc o złocie, ale przebudzenie jakież straszne, fatalne.

— Pozwoliłem się spić, jak ostatnie bydlę i zabrać całe mienie mojego pana! ryknął biedaczysko przerażającym głosem. Oh ty zbrodniarzu Fixie, żem cię też nie poznał! Ale teraz nie możliwą jest egzystencya moja na tej ziemi, trzeba sobie w łeb palnąć!

— Stój Passepartout! zawołał wchodzący Corsican, odtrącając mu od ucha rewolwer.— Cóż ty głupcze, chciałeś sobie w łeb palnąć?

— O panie, skradł mi pieniądze mojego pana ten zbrodniarz Fix! Muszę więc palnąć sobie w łeb.

— Strata ogromna, to prawda, ale daj pokój, trzeba będzie tak zrobić, aby pan o niczem nie wiedział.

— O mój zbawco!

— Cicho, mister Fog nadchodzi, miej dobrą minę.

— Passepartout, czy kupiłeś bilety na kolej żelazną? zapytuje nadchodzący gentelman.

— Nie jeszcze, proszę pana.

— To idź zaraz, bo czasu już mało.

— Passepartout, zakup cały salon w wagonie — rzecze z dobrą miną Corsican, wciskając mu w garść pieniądze.

— Mister Corsican, nie potrzebujesz pan płacić, ten chłopiec zapłaci memi pieniędzmi. Zresztą pan jesteś już u siebie w Ameryce więc zostajesz zapewne.

— Nie mister Fogg, jadę z tobą do Anglii, ponieważ czuję dla pana wielkie poważanie i proszę go o przyjaźń.

Oczekiwałem na to od 15 dni mister Corsican i bardzo mi przyjemnie ofiarować je panu — rzecze Anglik podając interlokutorowi rękę.

— A ty czego czekasz — rzecze Corsican do Passepartout, ruszaj po bilety, a my na dworzec zaraz udajemy się wszyscy.

OBRAZ IX.

Ktokolwiek jechał koleją ameryańską „Pacifique,“ lub czytał coś o niej, ten wie, że zbudowaną jest ona niezmiernie śmiało, z zuchwałością oniemal. Dla inżenierów amerykańskich wszystko jedno było, przepaść czy płaszczyzna, góra czy dolina; rzucali mosty pod tę kolej, między dwoma brzegami nad przepaścią, tak jak kładli szyny z góry na dół i z dołu pod górę, a hamulce przy wagonach wstrzymywały tak samo pęd z góry na dół, jak siła pary i mechanika konstrukcyi parła pociąg z dołu pod górę. Nie zrobili tylko jednej rzeczy, koniecznej przez długi jeszcze czas w Ameryce. Nie zabezpieczyli pociągów od napadu dzikich i nie okrzesanych Indyan. Prawda, że to leżało już po za obrębem ich atrybucyi; ale rząd Stanów Zjednoczonych powinien był wyręczyć ich w tem pożytecznem dziele. Nie dokonał wszakże tego i od czasu do czasu dzika horda pozwala sobie wyjmować szyny z przed pociągów, zatrzymywać te ostatnie i mordować pasażerów, a nawet uprowadzać pasażerki z sobą. Dla tego też radzimy każdemu udającemu się w podróż na wystawę Filadelfijską opatrzyć się przynajmniej w parę dobrych rewolwerów ażeby uniknąć niemiłej niespodzianki. Podróżnicy nasi znali jak się okazuje, na tym punkcie obojętność rządu Stanów Zjednoczonych, bo opatrzeni byli w dobrą broń i w sporą ilość ładunków, z mosiężnemi kapslami.

Przezorność ta ich była bardzo w porę, bo właśnie przed przybyciem pociągu do jednej ze stacyi kolei „Pacfique“ horda Indyan zatrzymała się złowrogo, uzbrojona w oszczepy i topory, oczekując na przybycie.

Ażeby zagrzać towarzyszy do energicznego ataku, naczelnik Indyan miał do nich przemowę, w której wskazał w gorących słowach całą niedolę dzisiejszą Indyan, zabranie im kraju przez białych, wyparowywanie coraz bardziej w lasy, w których jak dzikie zwierzęta kryć się muszą i nakoniec codzienne wystrzeliwanie i wymordowywanie ich jak wilków.

Przyznać trzeba, że szanowny naczelnik pokolenia hordy Indyan, miał trochę i racyi a przemawiał tak przekonywająco, że Indyanie nie na żarty rozwścieczeni, zaczęli sykać przerażająco. Powiadam ci łaskawy czytelniku, że ci Indyanie wyglądali w Alkazarze tak, jakbyś ich widział w rzeczywistości — miedziana cera, oczy połyskujące, włosy zielskiem związane na czubie i w $^3/_4$ ciała nadzy.

— Skryjmy się! — woła naczelnik Indyan, bo — oto widać pociąg.

I w tej chwili słyszysz dolatujący cię zdala świst lokomotywy, a wślad za nim widzisz w oddaleniu pędzący z góry na dół pociąg kolei „Pacifique;“ który na chwilę niknie w zakręcie, ażeby znów mieć zaszczyt zaprezentować się twoim oczom. Słyszysz więc znów świst parowca, ale tym razem już silny, bo blizki i naraz ukazuje się zdziwionym twoim oczom najpierw wspaniała lokomotywa o ogromnym piecu, buchającym kłębami dymu z dwoma czerwonemi na przodzie szkłami, za nią tender i cały sznur wagonów klasy I i II, nie wyłączając nawet wagonów towarowych. Pociąg się zatrzymuje na stacyi, wyskakuje z niego pan nadkonduktor, (poznaliśmy go po mundurze), a za nim i inni ze służby kolejowej.

Patrząc na to, zdawałoby się, że pan Grabiński z Alkazaru wynajął sobie, albo pożyczył cały pociąg od kolei żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej lub Bydgowskiej. Pociąg zatrzymuje się 15 minut; czy panowie wysiadają, woła pan nadkonduktor, otwierając drzwi jednego z wagonów I klassy, właśnie tego, w którym siedziało znajome nam towarzystwo.

— Trzeba wysiąść — powiada Fogg.

— A tak, warto się wyprostować — rzecze Corsican, wychodząc za Anglikiem.

— A panie nie wysiądą? — zapytuje się Fogg, zwracając się do wagonu.

— Nie milordzie—odpowiada księżna wraz z swoją przyjaciółką — ciepło, więc wolimy pozostać w wagonie ogrzewanym.

I Anglik z Amerykaninem, a za nimi Passepartout, przyodziani w futra, wyszli sobie trochę na plac kolejowy.

Nie tylko oni, ale nawet Fix, którego Passepartout znów nie poznał, bo był przebrany tym razem za murzyna, wybiegł sobie na ów placyk, by poskakać na rozgrzywkę.

W tem pan nadkonduktor przybiega do naszych znajomych i woła: — Ostrożność panowie, bo Indyanie napadli już na ostatnie wagony i zabili dwóch ze służby kolejowej.

Zaledwie na tę wiadomość wszyscy się skryli czemprędzej do wagonów, aż tu Indyanie z sykiem prawdziwie indyjskim rzucili się za nimi.

Nasi jednak podróżnicy byli bardzo odważni, bo dobyli rewolwerów i w oka mgnieniu zabili kilku napastników za nim ci jeszcze zdołali otworzyć drzwiczki wagonu.

Nieustraszony Anglik, odważny Amerykanin i dzielny Francuz Passepartout wyskoczyli z powozu i kładli trupem Indyan jednego po drugim, broniąc się od ciosów i toporów. Ale przewaga liczebna byłapo stronie Indyan, więc gdy jedni walczyli i padali jak muchy pod strzałami, inni przez ten czas wydobyli księżnę i jej towarzyszkę, a porwawszy je, uciekli niebawem, pozostawiwszy trupów swych braci na placu i w całości naszych podróżników.

OBRAZ X.

— Panie sierżancie — rzecze gentelman, za jaką bądź cenę musimy odnaleźć tych psów Indyan, którzy porwali nasze damy. Racz pan ze swemi żołnierzami puścić się drożyną na prawo, może tam znajdziecie ich ślady, ja zaś i ci panowie rozejdziemy się w różne strony i w razie czego, damy panom sygnał wystrzałem z rewolweru.

Po odejściu żołnierzy, których rycerski Anglik wezwał do pomocy w pogoni za Indyanami, tenże poszedł w prawo a Corsican w lewo. Passepartout zaś pozostał na miejscu, a nie mówiąc nic nikomu, wlazł sobie na drzewo

— Te szelmy Indyanie — rzekł do siebie; najpewniej tędy iść będą, mam ja jakieś przeczucie.

Dobry miał nos ten Passepartout kiedy tak myślał, bo w pięć minut potem zjawili się Indyanie, prowadząc porwane damy. Naczelnik Indyan ten sam co przed napadem na pociąg kolei „Pacifique“ tak gorąco przemawiał do towarzyszy swoich, ten sam powiadam, obdarzony hojnie oratorskim talentem, wypalił przedewszystkiem groźną mówkę do drżących z przestrachu dam i zakonkludował dosyć przerażająco, bo zapowiedzią, iż tu w tem miejscu, w którem syn jego zginął, z rąk białych barbarzyńców, one za chwilę położą swoje głowy. Mój syn i polegli towarzysze moi muszą być pomszczeni! — ryknął z wściekłością Indyanin. Już życie biednych pań było na włosku, już topory wisiały nad ich głowami, gdy Indyanie, spostrzegłszy zbliżającego się Anglika, ukryli się w zasadzce, pozostawiając kobiety na chwilę swobodne.

— Witam cię milady, witam panie, co za szczęście że was nareszcie odnajduję, jesteśmy w ciągłej pogoni za wami.

Pst — rzecze księżna — tam Indyanie w zasadzce.

Jakby na potwierdzenie tych słów chmara Indyan wypadła z ukrycia i zabiegłszy z tyłu, wyrwali z rąk Anglika rewolwer, prędzej aniżeli ten mógł się spostrzedz.

Jedyna a pewna broń gentelmana, dostała się do rąk Indyan, to fatalność, co tu począć?

Nastała chwila walki na słowa. Gentelman był nieustraszonym, nazywał ich rozbójnikami i barbarzyńcami, oświadczając w końcu, że to on zabił syna naczelnika Indyan.

— Jesteście rozbójnicy i podli tchórze! — zawołał.

— Tyś zabił mojego syna!—ryknął znów naczelnik Indyan.

— Tak, ja.

— To śmierć tobie! i porwał za topór.

— Stój — rzekł zimno anglik — czemu się obawiasz użyć tej broni, z której ubiłem twego syna. Weź za rewolwer i strzelaj do mnie.

W chwili gdy naczelnik mierzył do Anglika padł strzał z ukrycia, ugodziwszy go w głowę. Biedaczysko runął o ziemię, a z nim i gorące jege przemowy. Wtedy drugi Indyanin złapał za rewolwer, w ręku martwego już naczelnika spoczywając i zmierzył nim do Anglika który, jakby na złość stał nieporuszony. Ale ten Indyanin był tyle szczęśliwy, co i tamten, bo znów padł strzał z ukrycia i trafił go w sam łeb. Rozumie się że trzeci już nie próbował szczęścia — a nadejście Corsicana zmieniło front położenia jednych i drugich. Corsican zaraz ubił kilku, Anglik schwyciwszy z ziemi rewolwer uczynił toż samo, tak że czemprędzej reszta uciekła i dla Passepartout, który zeskoczył z drzewa, nie pozostało nic do upolowania. Musiał więc poprzestać na usatysfakcyonowaniu się dwoma poprzednio z drzewa ubitemi Indyanami.

Całe towarzystwo teraz już wesołe i bezpieczne puściło się w dalszą podróż, by siłą pary czemprędzej dobiedz do Atlantyku.

OBRAZ XI i XII.

Niestrudzone i odważne towarzystwo nasze puściło się do Europy na okręcie „Henrietta.“ Byłto właściwie parowiec przeważnie pasażerski, bardzo szybko i śmiało prujący bałwany oceanu. Właścicielem jego był przyjaciel prezesa Excentric-klubu, mieszkający w Liwerpolu. Okoliczność ta niezmiernie szczęśliwie wypadła, jak się to poniżej okaże, dla Anglika, który zanim wsiadł na ten parowiec bardzo rozważnie przewidywał wszelkie następstwa. Ba nawet w galanteryi swojej był tyle uprzejmym dla dam, że w Waszyngtonie przyjął dla nich pokojówkę angielkę.

Na statku „Henrietta" znalazł się ten sam murzyn, który jechał koleją „Pacifique". Murzyn ten figurował tu jako kucharz imieniem Domingo.

Z początku Passepartout nie zwracał na niego uwagi, lecz gdy ten, niewiadomo dla jakich powódów podlizywać mu się zaczął, nasz francuz zniecierpliwiony gwizdnął go w papę. Gwizdnięcie to było podwójnie fatalne dla owego murzyna; raz że go zabolało, a powtóre, że odkryto w nim incognito agenta policyjnego zacnego Fixa.

— Oho, robaczku, zawołał, spoglądając na pomorusane ręce swe, Passepartout, toś ty farbowany murzyn. Czekajno rybko, muszę ja to sprawdzić na gruncie twojej buzi.

I w oka mgnienin, potarłszy chustką o twarz murzyna, przekonał się najwymowniej, że był farbowanym.

— Stójno, stój, nie wyjdziesz mi teraz, ty podły złodzieju amerykański z San-Francisko, a teraz murzynie Domingo. Ty, jak widzę, umiesz się przebierać w rozmaitą skórę; lecz ta ostatnia nie poszykowała ci się jakoś, trzeba więc wygarbować ci ją.

To mówiąc, skułakował porządnie, wołającego litości agenta policyjnego, który nigdyby był się nie spodziewał podobnej operacyi.

— Teraz, łajdaku, oddawaj pieniądze, bo widzisz, tym oto rewolwerem w łeb ci wypalę. No, oddawaj, jak wyliczę: raz, dwa, trzy, a nie oddasz, to się przejedziesz na tamten świat, choć tam agentów policyjnych nie potrzebują. No, teraz już liczę: raz.., dwa... Ale biedny agent nie pozwolił dokończyć do trzech i oddał pieniądze, bez żądania nawet zwrotu rewersu swego.

Passepartout byłby z radości skoczył do sufitu, gdyby ten znajdował się na pokładzie parowca, Henrietta.

Dzień ów tak szczęśliwy miał dla niego inną jeszcze niespodziankę, bo po operacyi z murzynem, wpadła ni stąd, ni zowąd pokojówka znajomych nam dam, którą nasz lokaj pierwszy raz dopiero ujrzał, rzuciła mu się na szyję, to druga szczęśliwa dla lokaja operacya, którą wejściem *gentelmana* przerwaną została.

— Szanowny panie — rzecze Anglik do kapitana okrętu — racz mi pan poświęcić chwilę rozmowy, w kwestyi bardzo ważnej dla mnie.

— Mów pan prędko, bo nie mam czasu — odpowiada szorstkim głosem kapitan, z ogromnemi wąsami.

— Zapewniłem towarzystwo, z którem mam zaszczyt być w podróży, że okręt „Henrietta“ wyląduje w Liwerpoolu.

— Toś się pan pomylił, bo ani tam, ani na żadnym brzegu angielskim nie myślę wylądowywać.

— Wiem o tem i dlatego też chcę prosić pana, ażebyś raczył skierować okręt do celu naszej podróży, to jest do Liwerpoolu; nie chciałbym bowiem robić zawodu towarzystwu mojemu.

— To mi wszystko jedno, mój panie — mruczy kapitan okrętu — nie pojadę do Liwerpoolu i basta.

— Ale ja odwołuję się do pańskiej szlachetności — rzecze oziębłe Fogg.

— Nic z tego nie będzie...

— Więc takim sposobem odwołuję się do pańskiej nieszlachetności...

— Panie, pan mnie obrażasz, ja pana nauczę, ja pana każę tu zaraz związać moim ludziom, jeżeli pan jeszcze słowo powiesz, krzyknął gwałtownie kapitan.

— Spróbój pan.

— Hej, ludzie, majtkowie do mnie!

Na takie skinienie przybiegła chmara majtków takich, jakich widzimy na rzeczywistych okrętach.

Czego żądasz kapitanie — zawołali majtkowie.

— Ten człowiek mnie znieważył, żądam więc, ażebyście go związali.

— Wstrzymajcie się — rzecze obojętnie gentelman. Wpierw przeczytam panu liścik, kapitanie; pisany do mnie przez właściciela okrętu „Henrietta,“ który jest moim przyjacielem.

Wszyscy na to oświadczenie Fogga wytrzeszczyli oczy, a Anglik przeczytał na głos pomieniony list, który zawierał w sobie stanowczy projekt sprzedania okrętu „Henrietta“ za trzykroć sto tysięcy franków.

— Jak widzisz kapitanie —rzecze flegmatycznie Fogg — pośpieszyłeś się zbytecznie ze swoim rozkazem, bo oto, jak powiedziałem, tak się stać musi i okręt „Henrietta“ wyląduje nie gdzieindziej, tylko w Liwerpoolu.

— Zobaczymy — zawołał rozwścieczony kapitan.

— A tak, zobaczymy i to zobaczymy z pewnością, ponieważ ja kupuję ten okręt i płacę za niego żądaną summę trzykroć sto tysięcy franków, a wszystkim majtkom i całej załodze okrętowej, wypłacam zaległą pensyę półroczną. Czy zgoda, majtkowie?

— Zgoda, niech żyje nowy właściciel okrętu -— zawołali jednogłośnie wszyscy i zatrzymali szamoczącego się kapitana, zmuszając go do przyjęcia od Fogga zaofiarowanej summy.

— Dobrze więc! — krzyknął kapitan — okręt należy do pana, ale ja usuwam się od kierowania nim.

— Możesz pan to uczynić, pozwalam — rzecze gentelman — w takim razie ja obejmę dowództwo okrętu.

— Niech żyje nasz nowy kapitan okrętu! — zawołali majtkowie, i od tej chwili okręt „Henrietta“ pruł szybko bałwany Atlantyku pod nowemi rozkazami Anglika.

Po pewnym wszakże przeciągu czasu nowy kapitan okrętu zauważył, że dla niego „Henrietta“ za wolno się posuwa, mimo szybkiego biegu tego parowca. Rozkazał więc nie żałować węgli kamiennych i paść niemi obficie nienasyconą paszczę ognistego smoka okrętowego. Wkrótce jednak węgle kamienne wyczerpały się do ostatka i niebawem zabrakło paliwa.

Nasz nie cofający się przed niczem gentelman i na to znalazł środek, bo rozkazał rąbać maszty i pokład okrętu.

Para z piekielną siłą posuwała ,,Henriettę“ ku Liwerpoolowi, od którego oddaleni byli tylko o mil cztery.

— Palić jaknajwięcej drzewa — wołał Fogg!

— Kocioł pęknie, kapitanie — odpowiedział maszynista.

— Nic nie szkodzi, palić, ja rachuję na waszą odwagę.

— I nie zawiedziesz się na nas, kapitanie.

Ale tak jak przeładowanie żołądka sprowadza zawsze katastrofę, tak i przeładowanie pieca okrętowego spowodowywa podobne skutki. Właśnie to samo sprawdziło się na „Henriecie.“ Gdy bowiem ukazały się zdaleka oczom podróżników naszych mury Liwerpolu, kocioł pęka i piękna „Henrietta" zaczyna się palić dosyć gwałtownie. Podczas, gdy ogień ogarniał wszystkie części okrętu, żeglarze nasi ratowali się na łodziach. Biedna „Henrietta" znikła wktótce w płomieniach i bałwanach morskich a podróżnicy szczęśliwie dotarli do Liwerpoolu. Agent policyjny wierny zasadom obowiązków swoich, jeszcze w łodzi pod murem portu liwerpolskiego, schwycił za bary *gentelmana* i chciał go aresztować, twierdząc, że już mu to wolno teraz uczynić, ponieważ znajdują się na wodach angielskich.

Lecz Passepartout wymówniejszym był od agenta policyjnego, bo jednem ale silnem uderzeniem w kark, powalił go w wodę. Biedny Fix za swą gorliwość w służbie, potężnie się spławił w wodzie słonej — ale za to nasz *gentelman* w towarzystwie dam swoich oraz Corsicana i Passepartout, znalazł się w wygodnym pokoju hotelu w Liwerpolu.

OBRAZ XIII.

Zapisano snać było w księdze przeznaczeń, ażeby *mister* Fogg walczyć musiał do ostatka z przeciwnościami losu na torze podróży swojej; ale zarazem i zapisano było, ażeby tenże sam *mister* Fogg, wychodził zawsze z tych przeciwności zwycięzko i szczęśliwie.

— *Milordzie*, rzecze księżna, poślij czemprędzej po bilety na pociąg kolei żelaznej z Liwerpolu do Londynu.

— Nie trzeba już *miledy*, odpowiada obojętnie Fogg.

— A to dla czego?

— Bo nie pojadę.

— Pan nie jedziesz, milordzie? Ależ zakład...

— Przegrany.

— Jakimże to sposobem?

— Bo dziś jest właśnie Poniedziałek i zarazem ostatni to jest 80-ty dzień podróży mojej.

— Ah mój Boże, co za nieszczęście, zawołała księżna i nie ma już ratunku?

— Nie ma *miledy*.

— To okropne *milordzie*.

— Passepartout! zbliż się do mnie. Chcę ci powiedzieć, żem był z ciebie zadowolony zawsze, i dziękuję ci za twoję dla mnie przychylność, lecz więcej cię trzymać nie mogę, bo jestem zrujnowanym.

— Ja pana nigdy nie opuszczę, odpowiedział drżąc ze wzruszenia Passepartout. A choćbyś pan nawet i wypędził mię od siebie, ja wrócę do pana zawsze.

— Poczciwy jesteś chłopiec, ale nie ma czasu do stracenia. Biegnij mi oto z tym listem na pocztę. W nim jest przekaz do banku angielskiego na milion franków dla *gentelmanów*, z którymi zrobiłem zakład. A że go dziś przegrałem, więc powinni zaraz odebrać tę pieniądze, które już do nich należą.

Biedny Passepartout uczuł okropnie los pana swego i cały drżący wyszedł z listem na pocztę.

Miledy — rzecze anglik do księżnej — jestem obecnie zrujnowany. Z całego miljona, jaki wziąłem z sobą w podróż, pozostało mi tylko pięćdzieesiąt tysięcy franków. Musimy się więc rozstać z sobą, ja opuszczam kraj, a pani racz przyjąć tę skromną sumkę. Niech ona będzie posagiem dla ciebie, w chwili, gdy ci się trafi pożądny *gentelman*, którego poślubić będziesz mogła, a o to nietrudno ci będzie w Anglii.

— *Milordzie* — odpowiada księżna — przyjmuję twój dar, ale pod warunkiem, że tym *gentelmanem* nie będzie nikt innytylko ty, bo ja cię kocham. Czy zgoda na to *milordzie?*

— Zgoda księżno — rzecze anglik — przyciskając czule jej rękę do ust swoich.

Stał się cud jednego razu; a tym cudem była niedziela. Zapewne mnie czytelnik w tym punkcie nie zrozumiał, bo dość niewyraźnie poważyłem się wyrazić — lecz zaraz to wyjaśnię.

Oto wpada jak bomba do pokoju wierny Passepartout i woła do swego pana, do dam i do Amerykanina te słowa: — proszę pana, proszę pani, proszę panów, proszę państwa, zwycięztwo, zwycięztwo, zwycięztwo!

— Czyś ty czasem nie dostał bzika Passepartout? — zapytuje Corsican.

— Ja, nie, jak Boga kocham nie.

— Więc czego skaczesz, jak małpa w Allahalad?

— Bo oto proszę państwa, dziś nie poniedziałek tylko niedziela.

— Czy być może — rzecze Fogg.

— Tak panie mój, tak. Wybiegłem na ulicę, patrzę a tu wszystkie sklepy zamknięte. Biegnę na pocztę, a tu poczta zamknięta. Co to się znaczy, zapytuję na ulicy ludzi, że wszystko dziś pozamykane? Bo dziś niedziela odpowiadają mi najspokojniej. Więc to nie poniedziałek — zapytuję — Jakiś pan głupi — odpowiada mi jeden wysoki anglik z rudemi faworycikami, jakże może być poniedziałek w niedzielę..... Podziękowałem więc temu rudemu; że mnie nazwał głupim i oto przybiegam tu do państwa.

— Ach tak — rzecze Fogg — zaglądając do pugilaresu, w którym notował sobie momenty podróży — tak masz racyę i miał racyę ten rudy Anglik. Rzeczywiście dziś jest niedziela — Pomyliłem się tylko w rachubie dni, a to z powodu, że nie uwzględniłem przejścia stopni geograficznych.

— Więc zwycięztwo twoje *mister* Fogg! — zawołały damy wraz z Amerykaninem. Co za szczęście, że dziś jest niedziela.

— Tak jest, siedemdziesiąty dziewiąty dopiero dzień podróży mojej — a termin zakładu kończy się jutro o godzinie 9-tej wieczór. Więc Passepartout biegnij na dworzec kolei żelaznej kupić mi bilet do Londynu, a gdyby kolej nieszła za godzinę, to każ przygotować nadzwyczajny dla mnie pociąg.

— Dobrze panie — biegnę — biegnę czemprędzej.

We drzwiach wszakże zapał lokaja wstrzymanym został widokiem agenta policyjnego. Był to we własnej swojej osobie szanowny Fix.

— Przecież, nareszcie — powiada ten ostatni, złapałem cię ptaszku, tu na ziemi angielskiej.

— Czego żądasz — zapytuje Passepartout.

— Idź mi precz łotrze — odpowiada Fix — nie po ciebie przyszedłem, lecz po twego pana.

— Czego pan żądasz — zapytuje *gentelman.*

— Przyszedłem aresztować pana *mister* Fogg.

— A to za co?

— Boś pan skradł pieniądze banku angielskiego.

— Strzeż się pan — rzecze Fogg — bo cię to grubo kosztować może.

— Nie boję się pana, nie boję, mam tu konstablów za drzwiami — pisnę tylko słowo, a zaraz tu będą — No zabieraj się pan, bo aresztuję go.

— Dobrze, idę — rzecze spokojnie Anglik — ale wieź mnie zaraz do Londynu.

— O nie mister Fogg, nic z tego nie będzie tu w Liwerpolu będziesz pan siedział.

— Otóż widzisz mój agencie policyjny, że się grubo mylisz — rzecze zachodząc mu drogę Amerykanin — mister Fogg pojedzie do Londynu za godzinę, to ja cię upewniam.

— Coś pan zajeden?

Wszyscy spojrzeli na Amerykanina, który równie spokojnie jak obojętnie odpowiedział agentowi — to ja skradłem pieniądze bankowi angielskiemu.

Wobec tego oświadczenia, ogólne zdziwienie było nie małe.

Agent policyjny wytrzeszczył oczy, jak głupi, a oczy Fogga, dam i lokaja wyraziły uznanie dla szlachetności Amerykanina.

Fogg, naturalnie, był wolny i zaraz miał odjechać do Londynu. Przeznaczono mu jednak, ażeby był świadkiem jeszcze jednej sceny przed odjazdem swoim.

Gdy bowiem Fix zabierał się do aresztowania Corsican'a, wchodzi posłaniec z depeszą do Fixa. Ten otwiera gorączkowo list od swojej władzy i wyczytuje w nim rozkaz zaniechania poszukiwań złodzieja, ponieważ ten już od kikunastu dni siedzi w więzieniu w Londynie.

— Ach, co też to ze mnie za osioł — rzecze Fix, biorąc się za włosy.

— To prawda, nie omyliłeś się pan — odpowiada mu Passepartout.

— A z nami co będzie — rzecze Amerykanin biorąc za rękę towarzyszkę księżnej.

— Albożja wiem.....

— Czy kochasz mnie pani?

— Kocham.

— Więc zostań moją żoną.

— Dobrze.

OBRAZ XIV.

Szanowni Członkowie Excentric-kluba zgromadzili się wieczorem na salonach nowego pałacu tegoż klubu, w białych krawatach i takichże rękawiczkach, inagurowania nowego gmachu i oblania, jak to mówią, wygranej albo przegranej zakładu z misster Foggem, 80 dni temu uczyninonego.

Wszyscy gentlemani patrzą na zegar.

— Dwadzieścia minut do 9-ej. Nie ma go, powiadają.

— I nie będzie — rzecze jeden z nich — to szaleństwo taka podróż. Gdzie tu myśleć, ażeby stanął na termin, gdy żadnej nie mieliśmy o nim wiadomości przez całe 80 dni.

— Czy zastataliśmy mister Fogga — zapytuje Corsican wchodząc na salony klubu, wraz z towarzyszkami podróży i Passepartout.

— Mister Fogg nie przybył — odpowiadają członkowie.

— Ależ to być nie może — woła Passepartout, mój pan wyjechał pierwej od nas z Liwerpoola i powinien tu bydź już.

— Ale go nie ma — odpowiada jeden z gentelmanów i oto patrzcie panowie na zegar, skazówki wchodzą na 9-tą godzinę.... zegar zaraz wybije 9-tą o... słuchajcie państwo, raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć.....

— Wybaczcie mi panowie — rzecze wyfrakowany Fogg, wchodząc na salon klubu, wybaczcie moi panowie, żem dał wam oczekiwać na siebie trochę może za długo, ale wina to nie moja lecz rękawicznika, który dość szlamazarnie dobierał mi rękawiczki. Zdaje mi się jednak, żem przybył na czas i przyjemnie mi jest powitać was moi panowie. A teraz rekomenduję wa moję żonę i moich przyjaciół.

— Zdrowie mister Fogga — zawołali wszyscy, biorąc za kieliszki z szampanem.

— Zdrowie naszego pana — zawołał Passepartout, stojąc na stronie z pokojówką, która go już nie opuściła nigdy.

Taką jest treść tej humoreski scenicznej, z talentem napisanej. Nie dodamy nic więcej do tego, cośmy na początku niniejszego artykułu powiedzieli, tylko szczery poklask panu Grabińskiemu w Alkarzarze i panu Terenkoczemu w Tiwoli za wystawienie Podróży. Gdyby nie oni, długo jeszcze bardzo oczekiwać byśmy musieli na tę Podróż na wielkiej scenie Teatru warszawskiego, mimo że wszystkie Europejskie teatry ograły i ogrywają z wielkiem powodzeniem tę wdzięczną sztukę. Ale nasza wielka scena zdaje się być przekonania że „musztarda najlepiej smakuje po obiedzie“

Feliks Ehrenfeucht.

HURTOWNICY AMERYKAŃSCY.

(PRZEKŁAD Z ROSSYJSKIEGO.)

(Dokończenie.)

Podczas gdy Jan biegał za wynalezieniem sobie jakiego zajęcia, a dwaj inni towarzysze podróży, pili na rachunek przyszłej pomyślności, Olga nie zasypiała gruszek w popiele.

Że gospodyni domu, Amerykanka, rozumiała trochę po polsku, zawiązywała z nią gawędę ilekroć razy nastręczyła się po temu sposobność — że ze sługami nigdy się uładzić nie mogła, w kuchni pomagała jej prawie codziennie.

W ręku Olgi, przywykłej do pracy, paliło się wszystko, to też pomoc jej coraz się pożądańszą stawała, i po pewnym przeciągu czasu zaproponowano jej przyjęcie miejsca za mieszkanie i stół dla obojga, z płacą oraz po dwa dollary na tydzień. Olga zgodziła się na to chętnie, bo o to jej właśnie chodziło.

Te dwa na tydzień dollary nie stanowiły wielkich rzeczy co prawda, ale zawsze pomocą były nie małą, bo pozwalały nie wydawać zaoszczędzonych na kosztach podroży pieniędzy własnych.

Ze zdwojoną energią zabrała się Olga do pracy. Wsłuchując się w obce sobie dźwięki wyrazów angielskich, prosiła przedewszystkiem gospodyni, iżby jej każde słowo kilkakrotnie powtarzała, i dzięki nadzwyczajnej pamięci, w czasie dosyć stosunkowo krótkim, mogła już rozmówić się jako tako.

Gospodyni nie mogła się pomocnicy swej nachwalić i w nagrodę wieczorami czytać ją i pisać uczyła. Szło to oporem co prawda ale szło zawsze jakoś. Młodzi, którzy łącznie z nimi do Ameryki przybyli, pokłócili się z gospodarzem i przenieśli na inne mieszkanie. Jan zaś, mimo osobistych starań usilnych i protekcyi właściciela zajazdu, żadnego dotąd nie wynalazł sobie zajęcia, bo nieznajomość języka angielskiego, stałą mu była we wszystkiem zawadą.

— Nie ma co — rzekł doń nareszcie dnia pewnego gospodarz—nie ma co tracić tu czasu naprózno, trzeba ci się mój przyjacielu udać do Uard-Eylandu i umieścić w domu zarobkowym, założonym przez komisyą emigrantów. Tam nauczysz się języka, a gdy zechcesz i rzemiosła jakiego. Lubo praca w zakładzie tym, nie pociągała bardzo młodego szlachcica, ale nie było w czem wybierać...

Prawie sześć miesięcy przebył Jan w Uard-Eyland, uczęszczając regularnie do szkoły, urządzonej dla uczenia emigrantów języka angielskiego, pracował w ogrodzie a w czasie wolnym uczył się szewctwa. Początkowo miał zamiar uzdolnić się na kamieniarza, bo ten fach lepiej jak wszystkie inne popłatnym jest w Ameryce, ale za mało rozwinięty fizycznie, musiał się rozstać z tą myślą.

Zarząd i ład wewnętrzny domu zarobkowego, nie są zdaniem Jana tak wzorowe jak się to wydaje tym, którzy znają go tylko powierzchownie, w każdym jednak razie pożyteczny to zakład i niejeden biedny przybysz, winien mu ochronę od zguby niechybnej.

Jan wkrótce zyskał względy przełożonych i dotyla przywykł do pracy i pracować się nauczył, że to co zarabiał przewyższało wydatki na utrzymanie jego łożone. Ta przewyżka dochodu, stosownie do ustawy domu zarobkowego, przechodziła na własność Jana. Połowa jedna wydawała się zaraz, połowa odkładała się na fundusz zapasowy przy opuszczaniu instytucyi. Niedziele i święta przepędzał Jan zawsze z Olgą, bo gospodarz wyjednał mu na to pozwolenie.

Podczas początkowego pobytu w Ameryce, duma Jana nieraz była na ciężkie wystawiana próby. Dokuczyła mu niejednokrotnie wyniosłość, lub lekceważące traktowanie go przez emigrantów innych, a szczególniej przez dwu owych współ-towarzyszów podróży, z którymi spotykał się dosyć często.

Niedługo atoli i ci panowie znaleźli się obok Jana, gdy bowiem przehulali wszystek zasób, z ostatniej nędzy w jaką popadli, musieli udać się pod skrzydła opiekuńcze domu zarobkowego. Ale i pod innym względem jeszcze mógł Jan próżności swojej zadosyć obecnie uczynić.

Jeden oto ze znajomych jego protektora, właściciela zajazdu, utrzymujący bawaryę czyli salon piwny, jak się to tutaj nazywa, — potrzebował pomocnika, któryby zastępował go we wszystkiem podczas nieobecności.

Uważając Jana za zupełnie odpowiedniego, właściciel zajazdu przedstawił go i Jan opuszczając dom zarobkowy z 60 dolarami w kieszeni, objął zaraz te obowiązki. Oprócz utrzymania przeznaczono mu 40 dolarów pensyi miesięcznej.

Prawie rok cały przebyli Jan i Olga na miejscach swoich, a ciągle rozpatrywali się w warunkach, a ciągle uczyli się czegoś. Wrodzony spryt i pojętność pomagały im wiele i wkrótce z angielszczyzną na dobre się zaznajomili. Jan oprócz szewctwa, umiał dobrze rękawicznictwo i robił cygara. Olga umiała wybornie gotować, prała ślicznie najcieńszą bieliznę i szyła na maszynie.

Położenie, w jakiem dotąd zostawali, już ich nie zadawalniało i chcieli koniecznie na własną coś rękę rozpocząć. Pojmując, że za mało mają jeszcze na to funduszu, postanowili bądź co bądź przyrobić co najprędzej grosza; więc Jan robił buty i rękawiczki, prowadził drobny handel uliczny, roznosił piwo po większych bawaryach, jednem słowem działał na różnych punktach, a Olga tak samo. Była w pralni, była kucharką, sprzedawała kwiaty.

Ale wszystkie te sposoby, nie dość prędko prowadziły ich do celu, kapitał zapasowy wzrastał nadzwyczaj wolno. Wypadek wyprowadził Teleckich z rzędu proletaryuszów new-yorkskich, nie mających zajęcia stałego i robiących co się trafi.

Jan roznosząc piwo, spotkał się był ze swym byłym gospodarzem i wszedł z nim w rozmowę. Pokazało się otóż, że człowiek ten sprzedał swój zakład i przenosi się do Tehasu, gdzie otrzymał w spadku porządnie zagospodarowany folwark i salon piwny w Prestonie. Mając zamiar poświęcić się wyłącznie gospodarstwu rolnemu, gospodarz nie wiedział co począć z zakładem w Prestonie, a że znał Jana z najlepszej strony, zaproponował mu czyby nie wziął od niego dzierżawy.

Jan i Olga słyszeli nieraz o Tehasie i nieraz ku niemu wzdychali: ale nie chcieli ryzykować się na niepewne. Teraz nie dali sobie projektu powtórzyć dwa razy i zdecydowali się nań natychmiast.

Opowiadania byłego gospodarza i protektora Jana, okazały się zupełnie prawdziwe. Salon piwny znajdował się w jak najkorzystniejszych warunkach, a cena dzierżawna przystępną była niezwykle. Interesa Janów z początku poszły jak nie można lepiej. Goście oddawna przywykli do zakładu, nie porzucili go ze zmianą gospodarza, pierwszy miesiąc po pokryciu wydatków wszelkich, przyniósł 500 dolarów czystego dochodu, ale drugi już mniej znacznie, a w trzecim koniec z końcem zaledwie związać zdołali. Trudno odgadnąć przyczynę tej niekorzystnej zmiany. Czy emigranci za mało mieli doświadczenia, i nie potrafili dogodzić gościom; czy właściciele salonów innych potrafili tak im intrygą jakąś zaszkodzić, czy była inna jeszcze ku temu przyczyna, dość, że zakład Janów coraz większemi świecił pustkami. A że jednego nieszczęścia nigdy dosyć, posypały się inne, niby z rogu obfitości. Dłużnicy nie chcieli płacić i sporo przepadło; kupiec niesumienny dostarczył znaczną ilość popsutej wisky, której nikt pić nie chciał, a tu — potrzeba było ponosić ciężary wielkie, opłacać patent, gaz i wodę, a nieraz w dodatku i kary za niezachowanie przepisów, o jakich nikt nie myślał, gdy salon miał powodzenie. Zapasy gotowizny wyczerpały się zupełnie, i okazały się długi. Wiele chwil ciężkich przeżyli emigranci w tym czasie.

Gospodarz nie otrzymawszy przez miesięcy kilka żadnego dochodu, począł upadek handlu przypisywać próżniactwu i nieradności dzierżawców. Zrobił się wymagającym, dokuczliwym i nareszcie wymówił dzierżawę. Wyprosili się wprawdzie Teleccy od tej ostateczności przykrej, ale musieli przystać na opłatę po 30 dolarów miesięcznie. Skąd wziąć jednak tę summę, kiedy zakład nie tylko nic przynosi, ale jeszcze na straty naraża?..

Jan stracił głowę i nie wiedział co począć, zimna przecież krew Olgi znowu ich ocaliła od zupełnej ruiny.

Za radą ostatniej, Teleccy ograniczyli przedewszystkiem wydatki na utrzymanie salonu, sprzedali ze stratą wisky, a zaopatrzyli się w arak wyborowy, w nadziei, że zwabią nań irlandczyków.

Usunąwszy zbytkowne stoły i stołki, dali też za wygraną przeróżnym zakąskom i zaopatrzywszy się w chleb tylko i w kiełbasę, zamienili salon na tak zwane Simple Room czyli na zwyczajny szynk dla robotników irlandczyków, którzy pomału zaczęli się tutaj ściągać. Olga szyła obok tego koszule flanelowe i sprzedawała je do Magazynu, a czasu miała dosyć, bo goście pić przychodzili tylko wieczorami.

Dzięki tej przemianie i zdwojonej pracy interesa lepiej poszły i w ciągu dwóch miesięcy, oprócz dzierżawy zapłacili wszystkie zaległości Telecczy.

W miesiącu trzecim czysty zysk wynosił dollarów dwieście, peryod klęsk minął a szczęście znowu się poczęło uśmiechać emigrantom.

Robotnicy polubili szynkownię i chętnie w niej przebywali, a w dodatku w okolicach Prestona i w mieście samem rozkwaterował się dosyć znaczny oddział wojsk Stanów Północnych. Kilkunastu żołnierzy zajrzało przypadkowo do szynku, Olga zwąchała, że potrzeba odrazu przyciągnąć czemś gości podobnych, przygotowała smaczne zakąski a koniak i arak w najlepszym podawała im gatunku. To wywarło dobry skutek, żołnierze opowiedzieli towarzyszom innym o tanim zakładzie i uprzejmej gospodyni i odtąd od rana do wieczora tłum gości mieli Janowie. Zaprowadzając stopniowo coraz to nowe ulepszenia Olga znowu szynk na salon piwny zmieniła i ściągnęła doń dżentelmanów cywilnych a zwłaszcza niemców, którzy tu na gawędkę z wojskowymi się zbierali.

Handel szedł doskonale tak, że ledwo starczyli zaopatrywać się w piwo i gorące trunki. W półtora niespełna miesiąca okroiło się na czysto ani mniej, ani więcej jak 5,000 dollarów. Z wyjściem wojska dochód znacznie się pomniejszył, zawsze jednak gości dosyć bywało, zawsze 300 do 400 dollarów każdy miesiąc przynosił.

Nauczeni ciężkiem doświadczeniem Jan i Olga, skrzętnie badali słabostki odwiedzających, starali się im dogadzać a używali przytem wszelkich sposobów byle nowych jak najwięcej przynęcać. Olga umiała zresztą zachęcać do hulanki, bo nie darmo rzemiosło swoje studyowała w karczmie rossyjskiej, tylko że tam miała jedynie do czynienia z biednymi włościanami, którzy z nędznego zarobku i żyć i zabawić się potrzebowali. W Ameryce rzecz inna — tu każdy aż do robotnika najlichszego ma w kieszeni kilkanaście zbywających dollarów, nie dba więc o nie, bo ma możność nowego zarobku. Pomiędzy gośćmi składającymi się ze stałych mieszkańców Prestonu i z okolicznych właścicieli folwarków przybywających za interesami do miasta, zaczęły się pokazywać osobistości wcale nie pociągające.

Zarośnięci, z nabrzękłemi od słońca i zmian powietrznych twarzami, dżentelmani w ubiorach skórzanych w szerokich skórzanych czapkach i ogromnych butach zagustowali w salonie Olgi i w czasie przejazdów zawsze doń zachodzili.

Z początku Olga niechętnie się ku tym ichmościom odnosiła i miała ochotę zabronić im wstępu, gdy zwłaszcza zauważyła, że goście dawniejsi nie bardzo są z tego zadowoleni, ale gdy spostrzegła, że w trzosach tych panów pieniędzy co niemiara, a przechodzą do niej nadzwyczaj szybko, zgodziła się zupełnie z losem. Przy bliższem zaznajomieniu przekonała się nawet, że naród to wcale dobry i że każdy jeden, wart więcej jak dziesięciu miejscowych. Prawda że czasami przebrawszy miarkę, mieszkańcy stepów robili wrzawę i przyczyniali kłopotów nie mało, ale jakże następnie hojnie za to płacili. Zapoznawszy się ze stepowcami, Teleccy zapragnęli przenieść się z miasta do miejscowości w którejby jak najczęściej spotykać się można z rycerzami pustyni.

Ale nie odrazu się rzucili do przeprowadzenia projektu w życie, przedewszystkiem zajęli się tem aby dobrze zbadać warunki handlu na pograniczu. Jan zaprzyjaźniwszy się z niektóremi awanturnikami, sam się kilkanaście razy na stepy udawał, objeżdżał całą granicę Tahesu żeby osobiście poznać złe i dobre strony przesiedlin, w te niezbyt bezpieczne miejsca.

Badania i przejazdy wykazały rezultat dobry i gdy tylko Teleccy dowiedzieli się, iż jeden z właścicieli wenty pogranicznej ma zamiar sprzedać takową, Jan kupił ją bez namysłu.

Zdawszy dzierżawę w zupełnym porządku właścicielowi, Teleccy przenieśli się na miejsce nowego zamieszkania.

Szczęście sprzyjało im nadzwyczajnie!

Po roku stare zabudowania wenty były już zastąpione zupełnie nowemi.

Obok sprzedaży trunków, zajął się Jan handlem zamiennym z kolorowymi właścicielami tabunów i z indyanami, interesa szły ciągle jak najlepiej i majątek Janów rosł co godzina.

Ani powodzenie ani wygody wszelkie któremi Jan i Olga otoczyć się mogli byli, a o których we własnym kraju ani im marzyć wolno było, nie przywiązywały ich do Ameryki. Ojczyzna miała zawsze urok nieprzeparty a drogiem było wszystko co ją w jakikolwiek przypominało sposób.

To też zabudowaniom wenty Teleccy starali się nadać charakter narodowy.

Pragnienie powrotu coraz bardziej trapiło Jana i Olgę, zrobiwszy więc ogromny majątek myśleli o powrocie do kraju, czy im uda się jednak zamysł ów do skutku doprowadzić!?.... Ręczyć za to nie mogę.

Pieniądzę mają bo także magnetyzm wielki i kto wie czy Teleccy nie będą dla miłego grosza, z roku na rok odkładać wyjazdu dotąd, dopóki nie nawykną do obyczajów miejscowych i nie staną się za przykładem tysiąca emigrantów innych, obywatelami Stanów.

Po dwutygodniowym pobycie w wencie, nia spotkałem się nigdy już potem z Janami.

Nie mogę nie przyznać, że dom, w którym tak mnie przyjęto serdecznie, dom którego gospodarzem był Polak, a gospodyni Rossyanką — opuszczałem z żalem wielkim. Włócząc się czas długi pomiędzy obcymi ludźmi, przyjemnie mi było spotkać się z braćmi, chociaż co do Olgi, o tej niekoniecznie dobre wywiozłem wrażenie.

Cieszyło mnie, że się jej udało, że potrafiła przezwyciężyć przeciwności, nieraz bardzo trudne, że czasu swego umiała wlać w upadającego pod klęsk brzemieniem męża, nadzieję i odwagę — urządzić swe interesa i zebrać majątek, ale uderzała mnie bardzo nieprzyjemnie okoliczność, że pojąwszy gorączkową ruchliwość amerykańską, okazała się niezdolną do niczego więcej, jak tylko do zbierania pieniędzy. Inne wyższe potrzeby życiowe żadnego nie miały dlań znaczenia, odbijały się od niej, niby groch od ściany, żadnego nie pozostawiając po sobie śladu.

W kraju rodzinnym karczmarka — karczmarką była i w Ameryce. Tam za ideał miała rubla, tutaj dollara czciła nad wszystko. Pieniądz nie był dla niej nigdy środkiem, ale wyłącznym celem.

Mimowoli porównywałem był Olgę z właścicielami went innych. Tamci zbijali też pieniądze, ale za jedyny program życia nie stawiali sobie tego.

To też pieniądz używany na przeprowadzenie wyższych, szlachetniejszych celów, działalności ich, przydawał znaczenie moralne i jednał im sympatyę.

A. Kurbski.

ROZMAITOŚCI.

Społeczne.

— Słyszeliśmy z pewnego źródła, że p. Józef Boczyński, autor nowej Metody uprawy buraków cukrodajnych (drukowanej w r. b. w *Tygodniku Rolniczym),* zakupił żniwiarkę „Warszawiankę“ pomysłu p. Grubińskiego, w celu wynajmowania takowej do żniw i że za pole działania w r. b. obiera sobie gubernię lubelską, dokąd w tych dniach żniwiarkę wysyła.

— Z polecenia francuzkiego ministra wojny udała się na wielkie manewra do Warszawy misya wojskowa, złożona z dwóch jenerałów, dwóch pułkowników jazdy, dwóch pułkowników piechoty i jednego oficera artyleryi.

Literackie.

— Nakładem spółki wydawniczej księgarzy warszawskich, wyszła w tych dniach powieść w trzech tomach J. I. Kraszewskiego p. t. *Stara baśń,* powieść z IX wieku.

— Nowy romans znakomitego angielskiego belletrysty Garg Eliot (pani Lewes) pod tytułem: *Daniel Deronda,* przyniósł autorowi milion czystego dochodu. Wydrukowano 40,000 egzemplarzy w ośmiu częściach po 5 szylingów, za każdy przeto egzemplarz przypadło autorowi 1 funt sterlingów.

— 27 czerwca r. b. kończy swoją pięćdziesięcioletnią literacką działalność p. Karol Forster, bawiący obecnie w Warszawie. Forster pracuje głównie w dziedzinie ekonomii politycznej i oświaty ludowej.

Szkoły.

Na szczególną uwagę zasługuje ofiara, jaką poświęcił w m. Kangura gubernii Permskiej A. S. Gubkin na cel oświaty publicznej. „Nowoje Wremia“ donosiło dawniej, że A. S. Gubkin wystawił swoim kosztem dom na szkołę rzemieślniczą wartości rs. 400,000, iże oprócz tego wniósł rs. 400,000 dla zapewnienia dalszego bytu tej szkole. Obecnie „Gołos“ objaśnia, iż p. Gubkin w r. z. wydał na budowę domu szkolnego (bez warsztatów) 700,000 rs. tak, że zupełne wykończenie gmachu wraz z warsztatami kosztować będzie nie 400,000 lecz przeszło milion rubli. Na pewność zaś istnienia zakładu p. Gubkin wniósł 600,000 rs. Ogólna przeto ofiara A. S. Gubkina w rodzinnym jego kraju na cel naukowo-wychowawczy wynosić będzie przeszło 1,600,000 rs. Przykład godny naśladowania!

Дозволено Цензурою. Варшава 16 (28) Іюня 1876 г.

W drukarni Józefa Kaufmana. — Warszawa, Nr. 638 (9 nowy).

Wydawca Korzeniowski. Redaktor Henryk Perzyński.